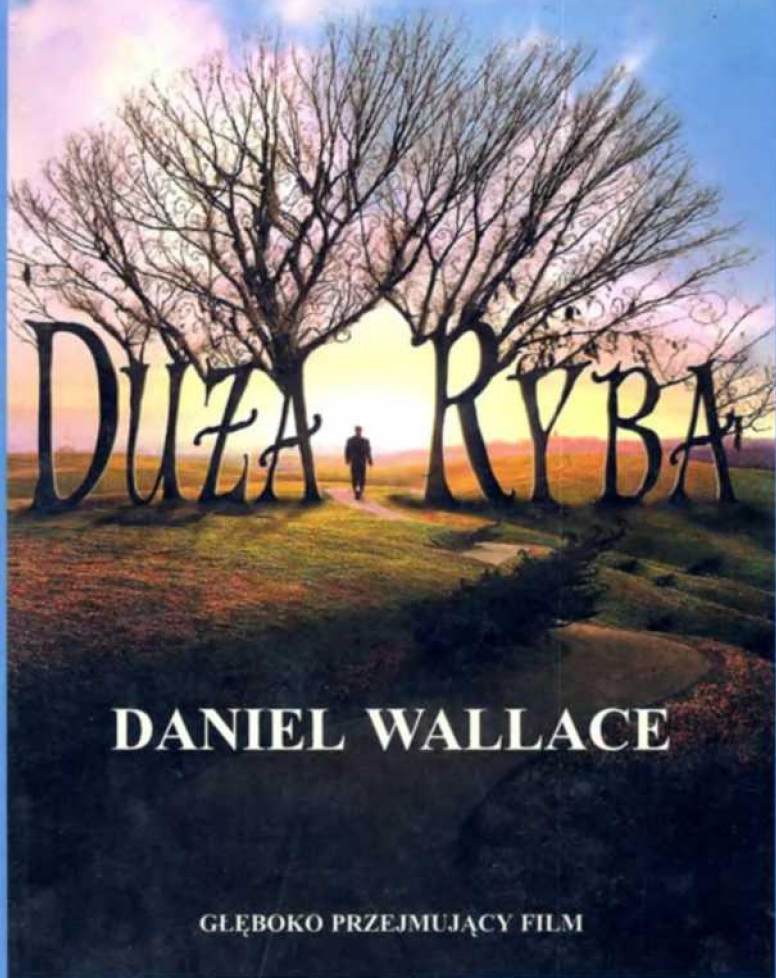


KAMELEON

SYN W POSZUKIWANIU PRAWDY O OJCU I SOBIE



DANIEL WALLACE

GLEBOKO PRZEJMUJĄCY FILM

Daniel Wallace

DUŻA RYBA

POWIEŚĆ

O MITYCZNYCH PROPORCJACH

Tłumaczył Jerzy Łoziński

KAMELEON

Zysk i S-ka Wydawnictwo

*Matce
Pamięci Ojca*

Podczas jednej z naszych ostatnich wycieczek samochodowych, gdy ojciec jeszcze był człowiekiem, zatrzymaliśmy się nad rzeką i poszliśmy na brzeg, gdzie usiedliśmy w cieniu starego dębu.

Po kilku minutach zdjął buty i slmrpetki, włożył nogi do warkkiej wody i siedział, przyglądając się stopom. Potem zamknął oczy i uśmiechnął się. Od jakiegoś już czasu nie widziałem u niego takiego uśmiechu.

Nagle głęboko odetchnął i rzekł:

— To mi przypomina...

Urwał i dalej nad czymś myślał. Wszystko przychodziło mu wtedy wolno, jeśli w ogóle przychodziło, a ja przypuszczałem, że przypomina sobie jakiś dowcip, gdyż zawsze jakiś miał na podorędziu. Albo może miał mi opowiedzieć jakąś historię stawiającą jego burzliwe i heroiczne życie. Więc zastanawiałem się, co mu to przypomina? Kaczora w sklepie z żelastwem? Konia w barze? Chłopca, który dorastał do kolan świerszczowi? Przypomina mu jajo dinozaura, które znalazł pewnego dnia, a potem zgubił? Kraj, gdzie panował przez większą część tygodnia?

— To mi przypomina — powiedział — jak byłem chłopcem.

Spojrzałem na tego starego człowieka, mojego starego z jego starymi, białymi stopami., które opływała krystaliczna woda, a potem nagle i po prostu pomyślałem o nim jako o chłopcu, dziecku, młodym chłopaku, który miał przed sobą całe życie, tak jak ja miałem przed sobą swoje. Nigdy przedtem mi się to nie zdarzyło. A obrazy ojca te-

rażniejszego i przeszłego zlały się i w jednej chwili przemieniły go w przedziwne stworzenie, dzikie stworzenie, w którym młodość walczyła ze starością, umieranie z narodzinami.

I tak mój ojciec stał się mitem.

Część I

Dzień, gdy się urodził

Urodził się podczas najbardziej suchego lata od czterech dekad. Drobną czerwoną glinę Alabamy słońce wyprażyło w twardy kurz, a wody nie było w promieniu wielu mil. Z jedzeniem też był kłopot: brakowało kukurydzy, pomidorów, a nawet dyni – zeschły pod mglistym, białym niebem. Wydawało się, że wszystko umiera: najpierw kurczaki, potem koty, świnie, a wreszcie psy. Także i one lądowały w garnkach, z kośćmi i całą resztą.

Jeden facet zwariował – zaczął jeść kamienie i umarł. Potrzeba było dziesięciu mężczyzn, aby go zanieść do grobu, taki był ciężki, dziesięciu więcej, aby wykopać dół, tak było sucho.

Ludzie patrzyli na wschód i mówili: „Pamiętacie, że tam płynęła rzeka?”

Patrzyli na zachód i mówili: „Pamiętacie Staw Talberta?”

Dzień, gdy się urodził, rozpoczął się jak każdy inny dzień. Słońce weszło i spoglądało na małą drewnianą chatkę, gdzie żona z brzuchem wielkim jak cały kraj rozbiła ostatnie jajko, które im zostało, aby je usmażyć mężowi na śniadanie. Mąż był już na polu i przewracał motyką kurz wokół czarnych i pokręconych korzeni jakiegoś tajemniczego warzywa. Słońce świeciło mocno i jasno. Kiedy wrócił do domu na swoje jajko, otarł pot z czoła postrzępioną niebieską bandaną, a potem wykręcił ją do starego, blaszanego kubka. Żeby mieć później coś do picia.

W dniu, gdy się urodził, serce żony stanęło na chwilę i umarła. A potem wróciła do życia. Widziała siebie unoszącą się nad sobą. Widziała też swego syna – jarzył się, powiedziała. Kiedy jej Ja połączyło się z resztą, powiedziała, że czuje tam ciepło.

– Zaraz – powiedziała. – Zaraz tu będzie.

I miała rękę.

W dniu, gdy się urodził, ktoś wyszedł w oddali chmurkę, jakby ciemniejszą. Ludzie zebrali się i patrzyli. Jedna osoba, dwie, dwie pary, nagle już było ich z pół setki, wszyscy patrzą w niebo, dość mała chmura

sunie w kierunku ich wyschniętych i umęczonych domostw. Także i mąż wyszedł, a tam — chmura. Pierwsza od tygodni.

Jedyną osobą w całym mieście, która nie patrzyła na chmurę, była żona. Padła na podłogę, a ból odebrał jej dech. Będąc bez tchu, nie mogła krzyczeć. Myślała, że krzyczy — szeroko otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. W innym jednak miejscu była bardzo zajęta. Nim. Nadchodził. Ale gdzie mąż?

Na zewnątrz patrzył na chmurę.

Nie chmurkę. Bynajmniej nie małą już, lecz porządną chmurę, ciężką i szarą, która zawisała nad splekanymi akrami. Mąż zdjął kapelusz, zmrużył oczy i zszedł z ganku, żeby lepiej widzieć.

Chmura przyniosła ze sobą także lekki wietrzyk. Bardzo miły był taki lekki podmuchi na twarzach. Wtedy usłyszał w oddali grzmot — buuum! — a przynajmniej tak mu się wydawało. Tym bowiem, co usłyszał, było kopnięcie żony w stół. Co mogło zabrzmieć jak odległy grzmot. Taki dźwięk.

Odszedł jeszcze o krok od domu.

W dniu, gdy się urodził, wszyscy ludzie z miasta zebrali się na polu koło jego domu i wpatrywali się w chmurę. Najpierw mała, potem całkiem pokaźna, wkrótce stała się ogromną chmurą, wielkości wieloryba, migoczącą białym światłem w środku, a niekiedy wybuchającą i rozpalającą szczyty sosen. Wyżsi z męzczyzn, wystraszeni, kulili się i czekali.

W dniu, gdy się urodził, wszystko się zmieniło.

Mąż stał się ojcem, żona — mamą.

W dniu, gdy urodził się Edward Bloom, padało.
W którym rozmawia ze zwierzętami

Wszyscy mówili, że ojciec wie, jak postępować ze zwierzętami. Kiedy był chłopcem, szopy jadły mu z ręki. Kiedy pomagał swemu ojcu w polu, ptaki przysiadły mu na ramieniu. Pewnej nocy pod oknem spał niedźwiedź – a dlaczego? Znał język zwierząt. Taki już był.

Także krowy i konie bardzo go lubiły. Chodziły za nim krok w krok i tak dalej. Ocierały wielkie brązowe nozdrza o jego bark i prychały, jak gdyby chciały przekazać jakąś specjalną wiadomość.

Kura kiedyś przysiadła mu na kolanach i złożyła jajko – małe i brązowe. Nikt nigdy nie widział jeszcze czegoś takiego.

Rok śniegu w Alabamie

Nigdy nie śnieżyło w Alabamie, a przecież kiedy ojciec miał dziewięć lat – śnieg spadł. Sypał wielkimi białymi płatami, które twardniały w zetknięciu z ziemią, pokrywając wreszcie całą okolicę skorupą lodu, opierającą się łopatom. Kto się znalazł pod śnieżnym zawałem, był skazany na zagładę; niewiele było czasu na rozważanie nieuchronności przeznaczenia.

Edward był silnym, spokojnym chłopcem, który nie pyskował ojcu, gdy trzeba było zrobić coś w domu, naprawić płot, odnaleźć zbląkanego cielaka. Kiedy śnieg zaczął padać w sobotnie popołudnie i dalej padał następnego ranka, Edward ze swym ojcem najpierw wznosili bałwany, śnieżne miasteczka i inne

konstrukcje; dopiero później zdali sobie sprawę z rozmiaru i groźby nieposkromionej śnieżycy. Powiadają jednak, że bałwan mego ojca miał szesnaście stóp wysokości. Aby to uzyskać, musiał sporządzić rusztowanie z sosnowych gałęzi i kołowrotek, po którym można się było do woli wspinać, schodzić, wciągać i opuszczać różne rzeczy. Oczami bałwana zostały stare opony samochodowe, których od lat nie używano; nos zrobiono z rury kanalizacyjnej, usta zaś – półśmiechnięte, jak gdyby bałwan ciepło myślał o czymś zabawnym – z kory zdjętej z dębowego pnia.

Matka była w domu, zajęta gotowaniem. Dym unosił się z komina szarobiałymi wstęgami i wzbijał kręgami w niebo. Słyszała za oknami stuki i szurania, ale zbyt wiele miała do roboty, aby bardzo się tym interesować. Nie spojrzała nawet, gdy mąż i syn wrócili po półgodzinie, spoceni na zimnie.

– Jest mały kłopot – powiedział mąż.

-- A jaki to kłopot? – spytała.

Śnieg tymczasem padał nieprzerwanie i przejście, które przed chwilą wykopali, znowu było niemal całkiem zasypane. Ojciec chwycił łopatę i zrobił nowy przekop.

Edward przyglądał się – ojciec kopie, śnieg zasypuje, ojciec kopie, śnieg zasypuje – aż dach zaczął trzeszczeć pod ciężarem śniegu. Matka zobaczyła, że śnieg osypuje się w sypialni. Pomyśleli, że w chacie jest już niebezpiecznie.

Ale gdzie uciekać? Cały świat znalazł się pod lodem, białym i skrzepniętym. Matka zapakowała na-

gotowane jadlo i pościagała koce.

Noc spędzili na drzewie.

Nazajutrz był poniedziałek. Śnieg przestał padać, wzeszło słońce. Temperatura wzrosła powyżej zera.

– Chyba czas już na ciebie do szkoły, prawda, Edwardzie? – powiedziała matka.

– Chyba tak – odparł, o nic nie pytając. Taki już z niego był chłopiec.

Po śniadaniu zszedł z drzewa i pomaszerował sześć mil do malutkiej szkoły. Po drodze widział mężczyznę zamrożonego jak bryła lodu. Sam prawie zamarł, ale nie, udało się. Dotarł nawet kilka minut wcześniej.

Był też nauczyciel, który przysiadł na stosie drewna i czytał. Ze szkoły widać było tylko wiatraczek na dachu, reszta skryła się pod śniegiem, który napadał przez weekend.

– Dzień dobry, Edwardzie – powiedział.

– Dzień dobry – odrzekł Edward.

I wtedy przypomniał sobie, że nie wziął pracy domowej.

Wrócił więc po nią.

Tak było.

Wielkie obietnice

Powiadają, że nigdy nie zapomniał niczyjego imienia, twarzy czy ulubionego koloru, a gdy miał dwanaście lat, potrafił rozpoznać każdego mieszkańca po odgłosie kroków.

Powiadają, że rósł tak szybko, iż przez jakiś czas

– kilka miesięcy? większą część roku? – musiał

pozostać w łóżku, gdyż ilość wapnia w kościach nie potrafiła dotrzymać kroku jego ambicjom wzrostowym, kiedy więc wstawał, giął się niczym winorośl i mógłby osunąć się na podłogę.

Czas swój Edward Bloom roztropnie wykorzystał na czytanie. Przeczytał niemal wszystkie książki, jakie były w Ashland. Tysiące książek, dziesięć tysięcy – mówią niektórzy. Historia, sztuka, filozofia. Horatio Alger. Jak popadło. Czytał wszystko. Nawet książkę telefoniczną.

Powiadają, że w końcu wiedział więcej niż ktokolwiek inny, włącznie z panem Pinkwaterem, bibliotekarzem.

Już wtedy był dużą rybą.

Śmierć ojca: ujęcie pierwsze

Tak to się dzieje. Stary doktor Bennett, nasz lekarz rodzinny, wychodzi z pokoju gościnnego i cicho zamyka za sobą drzwi. Bardziej niż wiekowy, żywa kolekcja garbów i zmarszczek, był naszym lekarzem od zawsze. Był podczas mych narodzin, przeciął pępowinę, wręczył matce me czerwone i pomarszczone ciało. Doktor Bennett wyleczył nas z chorób, których liczba musiała iść w dziesiątki, a czynił to z wdziękiem i taktem właściwym niegdyś lekarzom, między których, w efekcie, trzeba go zaliczyć. Jest on tym samym człowiekiem, który teraz wyprowadza mego ojca ze świata; wychodzi oto z sypialni, wyjmuje stetoskop ze swych starych uszu, spogląda na nas, matkę i mnie, i kręci głową.

– Nic już nie poradzę – mówi chrypliwym głosem

sem. Chciałby w geście desperacji wyrzucić w powietrze dłonie, ale jest za stary na takie ruchy. — Żałuję. Naprawdę. Jeśli macie jakieś sprawy, które trzeba by wyjaśnić z Edwardem, radziłbym zrobić to teraz.

Czekaliśmy na te słowa. Matka chwyta mnie za rękę i zmusza się do gorzkiego uśmiechu. Nie był to, oczywiście, łatwy czas dla niej. Przez ostatnie miesiące zmalało jej ciało i zmalał duch, żyje, ale od życia się oddaliła. Wzrok zatrzymuje się przed obiektem, na który kierują się oczy. Spoglądam na nią, wygląda na zagubioną, jak gdyby nie wiedziała, gdzie ani kim jest. Nasze życie tak się zmieniło od chwili, gdy ojciec wrócił do domu, aby umrzeć. Jego umieranie zabijało nas wszystkich po trochu. Zupełnie jakby zamiast iść do pracy, co dzień kopał grób za domem, na podwórzu, na tyłach basenu, robił to jednak powoli, cal, dwa za jednym razem. I jak gdyby to właśnie go wyczerpywało, powodowało sińce pod oczami, a nie — jak utrzymywała matka — „ta terapia rentgenowska”. Wracając od kopania wieczorem, z odrobiną brudu za paznokciami, mógłby zasiąść na krześle z gazetą i powiedzieć: „Jakoś to idzie. Znowu cal dzisiaj”. Na co matka mogłaby odrzec: „Słyszałeś, Williamie? Ojciec posunął się dzisiaj jeszcze o cal”, a ja: „Świetnie, tato, świetnie. Powiedz tylko, jeśli mogę w czymś pomóc”.

— Mamo — mówię.

— Ja wejdę pierwsza — ucina. — A gdyby tak wyglądało, to potem...

Gdyby wyglądało na to, że ma zaraz umrzeć, to mnie zawoła. Tak się porozumiewamy. W krainie śmierci zdania się urywają, sam wiesz, jak mają się skończyć.

Wstaje i wchodzi do pokoju. Doktor Bennett kręci głową, zdejmuje okulary i przeciera je końcem krawata w niebieskie i czerwone prążki. Jest taki stary, tak okropnie stary; czemu ojciec umiera przed nim?

– Edward Bloom – mówi w próżnię. – Kto by to pomyślał?

Istotnie, kto? Śmierć była najgorszą z rzeczy, jakie mogły się przytrafić mojemu ojcu. Wiem, że brzmi to dziwnie – to najgorsza z rzeczy, które mogą się przytrafić każdemu z nas – ale w jego przypadku było to szczególnie okropne, zwłaszcza te ostatnie lata przygotowań, choroba, która okaleczała to jego życie, nawet jeśli wydawało się, że przygotowuje go do innego.

Co gorsza, unieruchomiła go w domu. Nienawidził tego. Nienawidził budzić się co rano w tym samym pokoju, widzieć tych samych ludzi, robić tych samych rzeczy. Zanim do tego doszło, traktował dom niczym stację paliwową. Wędrowny ojciec, dla którego dom był postojem w drodze dokądś, dokąd zmierza w jakimś niejasnym celu. Co nim kierowało? Nie pieniądze, tych nie brakowało. Mieliśmy ładny dom, kilka samochodów, basen na tyłach; wydawało się, że nie ma czegoś, na co zupełnie nie możemy sobie pozwolić. Nie chodziło też o promocję – miał swój interes, który dobrze funkcjonował. Chodziło

o coś innego niż pieniądze czy promoq'a, ale o co, tego nie wiedziałem. Wyglądało to tak, jakby żył w stanie niewygasającego pragnienia – dotarcie do celu, gdziekolwiek się znajdował, nie było ważne: jedna bitwa, po niej następna, wojna jednak się nie kończyła. Pracował więc i pracował. Niekiedy wyjeżdżał na całe tygodnie w takie miejsca jak Nowy Jork, Europa czy Japonia, a wracał w jakichś nieoczekiwanych porach, powiedzmy o dziewiątej wieczorem, przyrządził sobie drinka i zasiadał na krześle jak na ojca rodziny przystało. No i zawsze miał do opowiedzenia jakąś bajeczną historię.

– W Nagoi – oznajmił po jednym z takich powrotów, gdy matka siedziała na swoim krześle, on na swoim, a ja przycupnąłem na podłodze u jego stóp – widziałem kobietę o dwóch głowach. Przysięgam wam. Przepiękną dwugłową Japonkę, która z niebywałą gracją i urodą odprawiała ceremonię parzenia herbaty. Trudno było orzec, która z tych dwóch głów jest piękniejsza.

– Nie ma czegoś takiego jak kobieta z dwiema głowami – stwierdziłem.

– Doprawdy? – Spojrzał na mnie spod oka. – Bardzo dziękuję, Panie Wszystkowiedzu i Wszystkowiedzu, ale ja wiem swoje.

– Mówisz serio? – spytałem. – Miała dwie głowy?

– I do tego dama w każdym calu. Mówiąc dokładniej, gejsza. Większą część życia spędziła w ukryciu, ucząc się całej tej zawilej wiedzy, jaką gejsza musi

dysponować, co – nawiasem mówiąc – ■ tłumaczy twoją podejrzliwość. Tylko dzięki protekcji całego łańcucha przyjaciół w interesach i znajomych polityków zostałem dopuszczony do tego sekretnego miejsca. Musiałem, rzecz jasna, udawać, że nic absolutnie mnie nie dziwi; gdyby mi się choćby uniosła powieka, byłby to lapsus o historycznych wymiarach. Po prostu, jak wszyscy pozostali, przyjąłem z jej rąk swoją herbatę i niskim głosem powiedziałem „Domo”, co po japońsku znaczy „Dziękuję”.

Wszystko, co robił, nie miało analogii.

Magia jego nieobecności przyczyniała się w domu do normalności jego obecności. Dużo pił. Nie złościł się, był tylko sfrustrowany i zagubiony, jak gdyby wpadł do dziury. Przez pierwsze wieczory oczy mu tak lśniły, że przysięgłbyś, iż świecą w ciemności, ale po kilku dniach pojawiała się w nich znużenie. Cierpiał, jak gdyby znalazł się poza swoim żywiołem.

Nie był więc dobrym kandydatem na śmierć, a po-
byt w domu tylko wszystko pogarszał. Z początku usiłował jakoś sobie z tym radzić, dzwonił do ludzi w dziwnych miejscach na całym świecie, ale wkrótce nawet i tego miał dość. Stawał się po prostu jednym z ludzi, człowiekiem bez pracy, bez historii do opowiedzenia, człowiekiem, którego – jak zaczynałem rozumieć – nie znałem.

– Wiesz, co by teraz było fajne? – mówi mi tego dnia, wyglądając całkiem nieźle jak na osobę, której, zgodnie ze słowami doktora Bennetta, mogę już nigdy nie zobaczyć żywej. – Szklanka wody. Będziesz tak

dobry?

– Jasne – odpowiadam.

Przynoszę szklanę, on zaś upija łyk czy dwa, podczas gdy ja podtrzymuję ją, aby się wszystko nie rozlało. Uśmiecham się do faceta, który wygląda już nie jak mój ojciec, lecz jak wersja ojca, jedna z kolejnych, podobna, ale inna, i niewątpliwie pod wieloma względami gorsza. Przy wszystkich zmianach, które przeszedł, kiedyś ciężko było na niego patrzeć, ale przywykłem do tego. Przywykłem, chociaż nie ma już włosów, a skórę pokrywają cętki i łuski.

– Nie wiem, czy kiedyś już ci to opowiadałem – mówi i nabiera tchu – ale był taki żebrak, który zatrzymywał mnie co rano, kiedy wychodziłem z kafejki koło pracy. Dawałem mu za każdym razem ćwierć dolara i w końcu tak nam to weszło w krew, że on nic mnie już nawet nie prosił, po prostu rzucałem mu ćwiartkę i tyle. Potem zachorowałem, więc wróciłem tam dopiero po kilku tygodniach, a wtedy wiesz, co mi powiedział?

– Co, tato?

– „Jest mi pan winien trzy pięćdziesiąt”.

– To śmieszne.

– Tak, śmiech jest najlepszym lekarstwem – mówi, chociaż żaden z nas się nie roześmiał. Żaden nawet się nie uśmiechnął. A teraz patrzy na mnie i wyraźnie smutnieje, tak to czasami z nim jest, że z jednego uczucia przeskakuje do drugiego, podobnie jak ludzie zmieniają kanały telewizyjne. – Tak, chyba słusznie, że zajmuję gościnny pokój.

– Jak to? – pytam, chociaż znam odpowiedź.

Nie po raz pierwszy o tym wspomina, chociaż to on postanowił, że wyniesie się z sypialni, którą dzielił z matką. „Nie chcę, żeby po tym, jak odejdę, każdej nocy kładła się do łóżka i z dreszczem spoglądała na moją połowę. Chyba rozumiesz, o co mi chodzi”. Sekwestracja pokoju gościnnego wydaje mu się jakoś symboliczna.

– ■ No bo i jestem kimś w rodzaju gościa – ■ ciągnie i rozgląda się po dziwnie odświętnym pokoju.

Matka zawsze uważała, że gościom należy się coś takiego, więc starała się, żeby pokój możliwie jak najbardziej przypominał hotel. Mały fotel, stolik przy łóżku, nad komodą spokojna olejna reprodukcja któregoś z wielkich mistrzów.

– Wiesz, wcale się tak dużo tu nie nasiedziałem. Nie tak dużo, jak wszyscy byśmy chcieli. Popatrz, jesteś już prawie dorosły, a ja... kompletnie to jakoś przegapiłem. – Przelyka, co jest teraz dla niego trudnym zadaniem. – Nie było mnie przy tobie, co, synu?

– Nie – odpowiadam może odrobinę za szybko, ale z taką ilością ciepła, jaką można zamknąć w jednym słowie.

– Tak – mówi, najpierw odkaszlnąwszy kilka razy. – Nie trzymaj w sobie niczego tylko dlatego, że ja, no wiesz...

– Spoko.

– Prawda i tylko prawda.

– Tak mi dopomóż...

– Bóg. Fred. Ktokolwiek.

Pije kolejny łyk wody. Nie chodzi chyba o pragnienie, a bardziej o samą tę substancję, żeby ją czuć na języku, w ustach: uwielbia wodę. Kiedyś, dawno temu, pływał.

– Ale widzisz, mojego ojca też dużo nie było. – Głos łamie mu się delikatnie. – Więc ja wiem, jak to jest. Ojciec był farmerem. Mówiłem ci o tym, prawda? Pamiętam, jak kiedyś musiał wyjechać po jakieś specjalne ziarno do obsiania pola. Załatwił transport, powiedział, że wróci za kilka dni. Ale coś tam się stało i nie mógł się ruszyć, a pojechał aż do samej Kalifornii. Minął szmat wiosny. Przyszedł czas zasiewów i minął. Ale kiedy wreszcie wrócił, miał najwspanialsze ziarno na świecie.

– Poczekaj, zgadnę, co było dalej – powiedziałem. – Wysiał je i wyrosły pnącza aż do nieba, a w chmurach był zamek, w którym mieszkał olbrzym.

– Skąd wiesz?

– A herbatę podawała mu, oczywiście, dwugłowa kobieta.

Ojciec rusza brwiami i uśmiecha się; przez chwilę jest mu naprawdę przyjemnie.

– Pamiętasz – mruczy.

– Jasne.

– Wiesz, że kiedy pamiętasz czyjeś historie, czynisz go nieśmiertelnym? – Kręcę głową. – Ale tak jest. Nigdy w żadną nie wierzyłeś, prawda?

– Czy to ważne?

Przygląda mi się.

— Nie — odpowiada. — Tak. Sam nie wiem. W każdym razie pamiętasz. Rzecz w tym, widzisz... Rzecz w tym, że starałem się być więcej w domu. Naprawdę. Ale coś się działo. Naturalne katastrofy. Ziemia się chyba raz rozstała, niebo rozdarło się kilka razy. Parokroć ledwie uszedłem z życiem.

Jego stara, pokryta łuską dłoń pełźnie, żeby dotknąć mego kolana. Palce ma białe, paznokcie popękane i pociemniałe jak stare srebro.

— Chyba tęskniłbym za tobą — powiadam — gdybym wiedział, co tracę.

— Powiem ci, na czym polegał problem. — Ręka unosi się z kolana i wykonuje gest, abym się przybliżył. A ja chcę się przybliżyć i chcę słuchać. Każde kolejne słowo może być ostatnim.

— Chciałem być wielkim człowiekiem — szepcze.

— Naprawdę? — pytam, jak gdyby było to dla mnie jakieś zaskoczenie.

— Naprawdę. — Słowa są wolne i słabe, ale jasne i pełne uczucia. — Uwierzysz? Sądziłem, że jest mi to przeznaczone. Chciałem być wielkim szczupakiem w stawie, tego chciałem. Chciałem od pierwszego dnia. Zacząłem od małego. Przez długi czas pracowałem dla innych, potem wreszcie uruchomiłem własny interes. Robiłem w piwnicy świeczki z wosku podkradanego pszczołom. Nie udało się. Potem sprzedawałem chabry kwiaciarniom. Nie udało się. W końcu wziąłem się do importu i eksportu, a wtedy nareszcie ruszyło. Jadłem kiedyś obiad z premierem, Williamie. Z samym premierem! Wyobrażasz to sobie, ten chłopak z

Ashland je obiad w jednym pokoju z... Nie ma takiego kontynentu, na którym by nie stanęła moja noga. Ani jednego. Bo jest ich siedem, nie? Sam już zaczynam zapominać... Mniejsza z tym, teraz i tak to wszystko mało ważne, prawda? Chodzi mi o to, że nawet już nie wiem, kto jest wielkim człowiekiem, jakie ma te... atrybuty. A ty wiesz, Williamie?

– Co?

– Czy wiesz, co sprawia, że człowiek jest wielki?

Zastanawiam się przez dłuższy czas i mam nadzieję, że zapomniał, o co pytał. Jego myśli często ostatnio wędrują, ale jest w jego wzroku coś takiego, co mówi mi, że niczego teraz nie zapomniał, trzyma się wypowiedzianych słów i czeka na odpowiedź. Nie wiem jednak, co sprawia, że człowiek jest wielki. Nigdy przedtem nie zastanawiałem się nad tym. Ale w takich chwilach jak ta żadne „Nie wiem” nie przyda się na nic. To sytuacja, której trzeba sprostać, usiłuję więc stać się lekki jak to tylko możliwe i czekam na wzlot.

– Myślę – odzywam się w końcu, czekając na odpowiednie słowa – że można o kimś powiedzieć „to wielki człowiek”, jeśli można powiedzieć, iż kocha go syn.

To jedyna moc, którą rozporządzam, a która pozwoliłaby mi odziać ojca w szatę wielkości, w coś, czego szukał w szerokim świecie, a co z powodu dziwnej odmiany wypadków przez cały czas czekało w domu.

– Hmmm, takie atrybuty – mruczy, a słowa nagle robią się odporne, jakby mu język odrobinę sko-

łowaciał. – Nigdy nie patrzyłem na to od tej strony, ale skoro już tak byśmy spojrzeli, to znaczy w tym przypadku, tym konkretnym, znaczy w moim przypadku...

– Tak – wpadam mu w słowo. – Niniejszym ty, Edward Bloom, mój ojciec, jesteś od tej chwili po wsze czasy Wielkim Człowiekiem. Tak ci dopomóż Fred.

I zamiast mieczem, lekko dotykam jego ramienia dłonią.

Te słowa jakby go odprężyły. Jego powieki opadają ciężko i z jakąś stanowczością, która wydaje mi się początkiem odejścia. Zasłony lekko się odchylają, a ja przez chwilę wierzę, że to jego duch z jednego świata przenosi się do drugiego. Ale to tylko centralne ogrzewanie.

– A co do tej dwugłowej kobiety... – mamrocze z zamkniętymi oczyma, jakby zasypiał.

– O niej już słyszałem – mówię i lekko potrząsam jego barkiem – i więcej nie chcę. Dobra, tato?

– Wcale nie chciałem nic mówić o dwugłowej damie, panie Mądralo.

– Nie?

– Chciałem ci opowiedzieć o jej siostrze.

– To ona miała jeszcze siostrę?

– Tak – powiada i otwiera oczy, łapiąc drugi oddech. – Czy mógłbym żartować na taki temat?

Dziewczyna w rzece

Na brzegu Blue River stał stary dąb, przy którym ojciec zwykł się zatrzymywać na odpoczynek. Drzewo szeroko rozpościerało gałęzie, rzucając cień, a wokół

pnia rósł miękki, chłodny zielony mech, na którym kładł się i niekiedy zasypiał, podczas gdy rzeka swym kojącym szumem kołysała go do snu. Zaległ któregoś dnia, a kiedy ocknął się ze snu, zobaczył piękną kobietę kąpiącą się w rzece. Długie włosy lśniły jak prawdziwe złoto i lokami opadały na nagie ramiona. Piersi miała niewielkie i krągłe. Nabierała w dłonie chłodną wodę i polewała nią twarz, pozwalając jej po piersiach spływać z powrotem do rzeki.

Edward nakazał sobie spokój. Powtarzał sobie: „Nie ruszaj się. Jeśli drgniesz, zobaczy cię”. A za nic nie chciał jej przestraszyć. Mówiąc szczerze, nigdy dotąd nie widział kobiety w stanie naturalnym i chciał się jej poprzyglądać odrobinę dłużej, zanim go opuści.

I wtedy zobaczył węża. Musiał to być mokasyn. Z leciutkim pluskiem wsunął się do wody i już sunął ku dziewczynie, lekko odginając do uderzenia gądzki łeb. Trudno uwierzyć, że wąż tej wielkości może cię zabić, ale może. Wąż dokładnie takich rozmiarów zabił Cal vina Bryanta. Ugryzł go w kostkę, a ten sekundę później był nieżywy. A Calvin Bryant był ze dwa razy większy od dziewczyny.

Nie było czasu na żadną decyzję. Ojciec zawierzył instynktowi. Z daleko wyciągniętymi rękami rzucił się szczupakiem do rzeki dokładnie w chwili, gdy mokasyn szykował się, aby dwoma kłami ugodzić w jej małą kibić. Wrzasnęła, oczywiście. Kiedy jesteś w kąpieli i znienacka rzuca się na ciebie jakiś mężczyzna – oczywiście wrzeszczysz. Gdy wynurzył się z wody, trzymając w rękach węża, którego paszcza szukała

czegoś, w co mogłaby się wpić, dziewczyna znowu wrzasnęła. W końcu udało mu się zawinąć węża w koszulę. Nie był za zabijaniem ten mój ojciec. Chciał zanieść przyjacielowi, który kolekcjonował węże.

Na razie jednak sytuacja przedstawia się tak: nadszedł do pasa młody mężczyzna i młoda kobieta stoją zanurzeni po biodra w Blue River i patrzą na siebie. Słońce migocze gdzieś tam, skrzy się w wodzie, oni jednak stoją głównie w cieniu. I przyglądają się sobie badawczo. Zupełny spokój, tylko przyroda w ruchu. Trudno przerwać milczenie, bo co powiedzieć? „Cześć, jestem Edward, a jak tobie na imię?” Nie w takim momencie. Mówi się to, co ona powiedziała, kiedy wreszcie odzyskała głos.

– Uratowałeś mi życie.

Bo i uratował, czyż nie? Właśnie miał ją ukąsić wąż, kiedy nadszedł ratunek. Co więcej, mężczyzna ryzykował także swoje życie, aczkolwiek żadne z nich o tym nie wspomniało. Nie było trzeba. Oboje o tym wiedzieli.

– Jesteś odważny – powiedziała.

– Wcale nie, proszę pani – odparł, chociaż ona z pewnością była niewiele starsza od niego. – Widziałem panią, zobaczyłem węża, więc... więc skończyłem.

– Jak się nazywasz?

– Edward.

– W porządku, Edwardzie. Odtąd to twoje miejsce. Nazwiemy je... Zakątkiem Edwarda. Drzewo, ta część rzeki, woda. Jeśli tylko będziesz się czuł nie-

specjalnie albo będziesz chciał, żeby się coś wydarzyło, przyjdiesz tutaj odpocząć i przypomnisz sobie tę chwilę.

– Dobrze – zgodził się, chociaż powiedziałby to samo, cokolwiek by rzekła. Jego głowa była wprawdzie wysoko nad wodą, ale kręciło się w niej. Miał takie wrażenie, że na chwilę opuścił ten świat i jeszcze nie powrócił.

Uśmiechnęła się.

– Odwróć się – powiedziała – a ja się ubiorę.

– Dobrze.

I odwrócił się z nieznośnie wprost dobrym samopoczuciem. Ledwie mógł je wytrzymać. Jak gdyby stał się większy, lepszy i zupełnie nowy.

Nie wiedział, ile czasu kobieta potrzebuje na ubranie się, dał jej więc pięć minut. A kiedy się obrócił, jej już rzecz jasna nie było – zniknęła. Nic nie słyszał, ale odeszła. Mógł zawołać za nią – i chciał – ale nie wiedział jak. Teraz bardzo żałował, że nie spytał.

Wiatr szeleścił w gałęziach dębu, a woda płynęła po swojemu. Dziewczyny nie było. A w jego koszuli tkwił nie wąż, lecz kij. Mały, brązowy kij.

Tak czy siak, wyglądał jak wąż. Szczególnie kiedy cisnął go do wody i patrzył, jak odpływa.

Cichy urok

Powiadają, że miał niezwykły urok, wycucie niedomówień, nagłą głębię słów. Był nieśmiały, ten mój ojciec, a jednak kobiety się za nim oglądały. Nazwijmy to cichym urokiem. Był też całkiem przystojny, chociaż nigdy tak o sobie nie myślał. Był

przyjazny dla wszystkich i wszyscy byli jego przyjaciółmi.

Nawet już wtedy był zabawny. Powiadają, że znał parę dobrych kawałów. Nie w dużej grupie, wtedy trzymał je dla siebie, ale zostań z nim sam na sam — czego wiele mieszkank Ashland usiłowało najwyraźniej dopiąć! — a potrafił cię rozśmieszyć. Powiadają, że słycać było, jak zaśmiewają się po nocach, mój ojciec i te słodkie młode dziewczyny, słycać było ich śmiech rozchodzący się z werandy rozkołysanym echem po mieście. Śmiech był świadectwem wyboru, z kim spać w Ashland. Tak to wtedy bywało.

Jak okiełznał olbrzyma

Liczne były młodzieńcze wyczyny ojca, a historii opowiadanych po dziś dzień jest doprawdy bez liku. Największym może zadaniem było stawienie czoła Olbrzymowi Karlowi, w ten bowiem sposób ojciec naraził swe młode życie. Karl miał wzrost dwóch rośłych mężczyzn, szerokość trzech, a siłę — dziesięciu. Blizny na twarzy i rękach świadczyły o życiu pędzonym brutalnie, bardziej bestialskim niż ludzkim. Także i maniere miał bestii. Powiadają, że jak każdego śmiertelnika urodziła go kobieta, ale wkrótce stało się jasne, że popełniono jakiś błąd. Był po prostu za wielki. Matka rano kupowała mu ubranie, które po południu trzeszczało już w szwach, tak szybko rosło jego ciało. Wieczorem kładł się do łóżka przyciętego na miarę przez stolarza, a rano stopy wisały w powietrzu. No i jadł bez ustanku! Nie miało znaczenia, ile jedzenia kupiła i wyhodowała na swym polu —

pod wieczór spiżarki ziały pustką, a on i tak skarżył się, że z głodu burczy mu w brzuchu. Wielka pięść waliła w blat stołu.

„Matka, dawaj mi tu zaraz!”, krzyczał. Po czternastu latach miała już tego dość i pewnego dnia, gdy Karl wżerał się właśnie w udziec dziczyzny, szybko spakowała się i wymknęła tylnymi drzwiami, aby nigdy już nie powrócić. Jej nieobecność została zauważona dopiero, gdy skończyło się jadlo, a wtedy Karl stał się pochmurny, gniewny, a przede wszystkim głodny.

To wtedy pojawił się w Ashland. W nocy, kiedy wszyscy mieszkańcy spali, Karl przemyczał się między podwórkami i ogrodami w poszukiwaniu jedzenia. Z początku brał tylko to, co rosło; nadchodził ranek, a ludzie z Ashland widzieli spustoszone pola kukurydzy, ogołoczone jabłonie w sadach, wysuszoną wieżę ciśnień. Nikt nie wiedział, co z tym fantem zrobić. Zbyt duży już na dom, Karl wyniósł się w otaczające miasteczko góry. Kto śmiałby zadrzeć z nim na takim terenie? I co zresztą mieli począć oni, biedni ludzie, wobec monstrualnego ogromu, jakiego nabral Karl?

Trwały te rabunki czas jakiś, aż któregoś dnia zniknęło kilka psów. Jasne się stało, że zagrożone jest samo życie miasteczka. Coś trzeba było zrobić – ale co?

Mój ojciec przedstawił plan. Plan niebezpieczny, ale widocznie nie było żadnego innego wyjścia, więc z błogosławieństwem całego miasteczka ojciec pewnego pięknego letniego poranka wyprawił się w drogę.

Poszedł w góry, gdzie znalazł pewną jaskinię. Tam jego zdaniem mógł mieszkać Karl.

Jaskinia znajdowała się za sosnowym zagajnikiem i zwaliskiem skalnym, ojciec zaś poznał ją, ratując wiele lat wcześniej dziewczynkę, która się zabłąkała. Stał przed wejściem i zawołał:

– Karl! – Jego własny głos powrócił jako echo.

– Pokaż się! Wiem, że tam jesteś. Mam ci przekazać wiadomość z miasteczka.

Przez chwilę w leśnej głuszy trwała cisza, a potem ojciec posłyszał odgłos, od którego – jak się zdawało – zadrżała ziemia. Z mroku jaskini wynurzył się Karl. Był większy ponad wszelkie wyobrażenia. A jakże okropnie wyglądał!!! Cały w bliznach i guzach, żył bowiem w dzicy, a głód taki go niekiedy nękał, że nie czekał, aż zdobycz do cna wyzionie ducha, jadlo więc czasem się broniło. Ciemne włosy zwisały w długich, tłustych strąkach, w brodzie gęstej i splątanej pełno było odpadów jedzenia, na których żerowały grube robaki.

Na widok ojca olbrzym ryknął śmiechem.

– I czego tu chcesz, ty maluchu? – spytał i okrutnie się przy tym uśmiechnął.

– Dość już tego przychodzenia do Ashland na wyzerkę – powiedział ojciec. – Farmerzy nie mają zbóż do zebrania, a dzieci płaczą po swoich psach.

– Tak, a kto mnie powstrzyma, ty? – spytał Karl, a głos grzmotem przetoczył się po dolinie i bez wątpienia dotarł do samego Ashland. – Jeśli będę chciał, złamię cię w palcach jak patyk. – I na poparcie

tych słów odłamał gałąź sosny i pokruszył ją w palcach na kawałki. -- Jak zechcę, schrupię cię zaraz i tyle będzie po tobie. Jak tylko zechcę!

– I właśnie dlatego tutaj przyszedłem – stwierdził ojciec.

Twarz Karla wykrzywiła się, czy to z powodu słów ojca, czy z powodu robaka, który zaczął pełznąć w górę policzka.

– Co to ma znaczyć: „właśnie dlatego tutaj przyszedłem”?

– Żebyś mnie zjadł. Będę twą pierwszą ofiarą.

– Pierwszą... ofiarą?

– Ofiarą tobie złożoną, o największy z Karlów.

Korzymy się przed twą potęgą. Zrozumieliśmy, że aby uratować wielu, kilku musimy poświęcić. No więc przychodzę na... obiad? Jaką masz teraz porę posiłku?

Wydaje się, że słowa ojca skonfundowały Karla.

Potrząsnął głową, żeby w niej trochę pojaśniało, a kilkanaście robaków wyprysnęło z brody i zleciało na ziemię. Ciało olbrzymy zadrżało, jakby zaraz sam miał zwalić się z nóg, i istotnie musiał się oprzeć o ścianę jaskini. Można było pomyśleć, że ugodziła go jakaś broń, że został ranny w boju.

– Nie – powiedział cicho, a nawet smutno – nie chcę cię zjadać.

– Nie chcesz? – upewnił się ojciec, czując wielką ulgę.

– • Nie – powtórzył Kari. – Ani ciebie, ani nikogo innego. – Po policzku stoczyła się wielka łza. – Po prostu jestem głodny. Mama gotowała pyszne rzeczy,

ale potem gdzieś się podziała, a ja nie wiedziałem, co począć. Psy... Przepraszam za te psy. Przepraszam za wszystko.

Ojciec pokiwał głową.

– Rozumiem.

– I dalej nie wiem, co robić – ciągnął Karl. – Spójrz tylko na mnie, jaki jestem wielki. Żeby żyć, muszę jeść! Ale zostałem sam i zupełnie nie wiem...

– Sam sobie gotuj – poradził ojciec. – Zasadź coś. Zaczynj hodować zwierzęta.

– Dobrze ci mówić – powiedział Karl. – Muszę chyba wleźć do tej jaskini na amen i nigdy już z niej nie wychodzić. Tyle szkód wam narobiłem...

– Możemy cię nauczyć – podsunął ojciec.

Karl w pierwszej chwili nie zrozumiał.

– Czego?

– Jak gotować, uprawiać rośliny. Przecież tutaj są całe akry ziemi.

– Myślisz, że mógłbym zostać farmerem?

– Pewnie, że mógłbyś.

T tak się właśnie stało. Karl został największym farmerem w Ashland, ale jeszcze większa stała się legenda mego ojca. Powiadano, że może on urzec każdego, wystarczy, że wejdzie do pokoju. Powiadano, że jest obdarzony magiczną mocą. Ale ojciec był skromny i powtarzał, że to nieprawda. Po prostu lubił ludzi, a oni lubili jego. Tylko tyle, nic więcej, mówił.

W którym idzie na ryby

Potem przyszła powódź, ale co ja mógłbym dodać do tego, co już o niej napisano? Deszcze, nie kończące

się fale deszczu. Strumyki zamieniały się w rzeki, rzeki w stawy, a one wszystkie wystąpiły z brzegów i połączyły się w jedno wielkie jezioro. Jakimś cudem Ashland ocalało, a przynajmniej ocalała większa jego część. Powiadają, że szczęśliwym zrzędzeniem losu łańcuch górski rozdzielił wody, które opłynęły miasteczko. To prawda, że jeden skraj Ashland – domy i cała reszta – nadal jest na dnie tego, co nazywa się (słusznie, aczkolwiek w sposób niezbyt wyszukany) Wielkim Jeziorem i ciągle w letnie noce słyhać duchy topielców. Ale największa osobliwość jeziora to sum. Sum, powiadają, tak wielki jak człowiek, a nawet większy, jak utrzymują inni. Jeśli zanurkujesz zbyt głęboko, odgryzie ci nogę. Albo i coś więcej, jeśli nie będziesz uważał.

Tylko głupiec albo bohater spróbuje złapać rybę tej wielkości. Albo mój ojciec, który, no cóż, był chyba po trochu i jednym, i drugim.

Któregoś dnia o świcie wziął łódkę i wypłynął na środek Wielkiego Jeziora, gdzie jest ono najgłębsze. Co na przynętę? Zdechła mysz, którą znalazł w stodole. Nadział ją na hak i rzucił. Potrwało dobre pięć minut, zanim dotarła do dna, potem zaczął wolno ściągać. Szybko miał branie, ale tak gwałtowne, że stracił i mysz, i hak. Spróbował więc ponownie. Tym razem wziął większy hak, mocniejszą linkę, bardziej jeszcze smakowicie wyglądającą zdechłą mysz i zarzucił. Woda zaczęła się teraz kotłować, kotłować, gotować i burzyć, jakby od dna wzbijał się duch jeziora. Edward zaś po prostu łowił ryby, nic więcej, tylko łowił ryby.

Może nie był to najlepszy pomysł, skoro teraz wszystko zaczynało wyglądać zdecydowanie nieprzyjemnie. I nawet jakby strasznie. Może istotnie lepiej ściągnąć swoją mysz i popłynąć do domu. Dobrze, w porządku. Tyle że jak zaczyna ściągać, zauważa, że nie tyle porusza się linka, ile on sam. Do przodu. Im szybciej też zwija, tym szybciej się porusza. Dobrze wie, co powinien zrobić, to jasne

– puścić wędzisko. Puścić! Cisnąć i nawet pomachać na pożegnanie. Kto może wiedzieć, co tam jest na drugim końcu i teraz go ciągnie? Jednak nie może puścić. Nie może i tyle. Ręce jakby mu wrosły w wędzisko. Robi więc następną z godnych polecenia rzeczy, a mianowicie przestaje ściągać linkę, ale owa następną z godnych polecenia rzeczy nie skutkuje: dalej sunie przed siebie. Sunie Edward i to szybko, szybciej niż poprzednio. Nie ma więc już żadnej zagadki, prawda? Ciągnie go jakaś żywa istota, ni mniej, ni więcej tylko sum. Patrzy Edward, a tu na wzór delfina sum wyskakuje z wody, słońce skrzy się na nim, pięknym, monstualnym, przeraźliwym

– sześć, siedem stóp długości? – a kiedy znika pod powierzchnią, zabiera ze sobą Edwarda, wrywa go z łódki, ciągnie coraz dalej i głębiej w wodny grobowiec Wielkiego Jeziora. I widzi tam domy i farmy, pola i drogi, ów mały skraj Ashland pochłonięty przez powódź. Widzi także ludzi: Homera Kittrid-ge'a z żoną Marlą. Jest Vern Talbot i Carol Smith. Homer niesie koniom wiadro pełne owsa, a Carol rozmawia z Marlą o zbiorach. Vern siedzi na traktorze. Wiele,

wiele sążni pod mroczną zieloną wodą poruszają się jakby w zwolnionym tempie, a kiedy mówią, z ust wyskakują małe bąbelki i wzbijają się ku powierzchni. A kiedy sum ciągnie Edwarda obok nich, Homer uśmiecha się i zaczyna machać – znają się dobrze. Nie zdążył dokończyć tego gestu, bo wcześniej zniknęli, ryba i człowiek, znowu płyną w górę, nagle wyskakują z wody, Edward zaś – już bez wędziska – zwała się na brzeg.

Nigdy nikomu o tym nie opowiadał. Nie mógł. Bo i kto by mu uwierzył? Kiedy go pytano, co stało się z łódką i wędką, odpowiadał, że zasnął na brzegu Wielkiego Jeziora, a wtedy... odpłynęły.

Dzień, gdy opuścił Ashland

No i tak to mniej więcej Edward Bloom stał się mężczyzną. Był zdrowy, silny, kochali go rodzice. Skończył też liceum w Ashland. Razem z rówieśnikami hasał po zieleniejących łąkach, z ochotą pojadał i popijał. Życie było jak sen. Jednego ranka przebudził się jednak i w głębi serca wiedział, że musi wyjechać, co powiedział swoim rodzicom, a oni nie usiłowali go zatrzymać. Spojrzeli jednak na siebie z lękiem, albowiem Ashland można było opuścić tylko jedną drogą, a wybór tej drogi oznaczał przejazd przez miejsce bezimienne. Ci, którym przeznaczone było opuścić Ashland, miejsce to mijali bez kłopotów, ale ten, komu nie było to pisane, zostawał tam na zawsze, nie mogąc już ani posunąć się do przodu, ani zawrócić.

W dniu, gdy opuszczał Ashland, pogoda była piękna, kiedy jednak zbliżał się do miejsca bezi-

miennego, powietrze pociemniało, niebo się obniżyło, a jego owionęła gęsta mgła. Wkrótce znalazł się w miejscu bardzo podobnym do Ashland, różnym jednak w kilku ważnych punktach. Na Main Street był bank, apteka Cole'a, księgarnia chrześcijańska, Five and Dime Talbota, Prickett's Place, sklep z zegarkami i biżuterią, kawiarnia Good Food, sala bilardowa, kino, pusty parking, sklep żelazny, a nawet sklep ze starszymi od niego artykułami na półkach. Niektóre z tych sklepów znajdowały się także przy Main Street w Ashland, tutaj jednak były puste i ciemne, okna popękane, a właściciele spoglądali tępo z pustych wejść. Wszelako na widok ojca zaczęli się uśmiechać. Uśmiechać i machać. „Klient!”, myśleli. Był na tej ulicy także dom publiczny, na samym końcu, ale nie był podobny do burdelu w mieście, był to po prostu dom, gdzie mieszkała dziwka.

Kiedy wszedł do miasteczka, zewsząd poczęli zbiegać się ludzie i patrzyli na jego piękne dłonie.

– Wyjeżdżasz? – pytali. – Opuszczasz Ashland?

Dziwne to było zbiegowisko. Jeden mężczyzna miał kaleką rękę. Poniżej łokcia zwisała bezwładnie, a powyżej uschła. Z rękawa wystawała tylko dłoń, niczym koci łeb z papierowej torby. Parę lat temu jechał pewnego sierpniowego dnia samochodem i wystawił rękę na wiatr. Ponieważ jednak jechał zbyt blisko pobocza, zamiast wiatru poczuł ukąszenie słupa telefonicznego. Wszystkie kości przedramienia zostały pogruchotane. I ręka zwisała teraz bezużyteczna, a z biegiem czasu robiła się coraz mniejsza. Powitał ojca

uśmiechem.

Była też kobieta po pięćdziesiątce, która pod każdym względem wydawała się doskonale normalna, ale tak to właśnie było z tym ludźmi: pod bardzo wieloma względami wydawali się normalni, zawsze jednak była jakaś jedna rzecz, jedna okropna rzecz. Kiedy ileś lat temu wróciła do domu, w piwnicy znalazła męża wiszącego na rurze wodociągowej. Widok ten przyprawił ją o szok, w efekcie którego lewa połowa ciała została na zawsze porażona – kącik ust opadł w przesadnym wyrazie sceptycyzmu, ciało wokół oka obwisło. Nie mogła w ogóle poruszyć tą stroną twarzy, kiedy więc mówiła, poruszała się tylko połowa ust, a głos wydobywał się z nich tak, jakby wiążył gdzieś głęboko w gardle. Słowa przedzierały się przez nie z bolesnym trudem. Po tym zdarzeniu chciała opuścić Ashland, ale dotarła tylko dotąd.

Byli też jeszcze inni, którzy po prostu tacy cię urodzili, a same narodziny były pierwszym i najgorszym z nieszczęsnych wypadków. Był mężczyzna z wodogłowieciem imieniem Bert, pracował jako sprzątac. Gdziekolwiek się udawał, wszędzie niósł ze sobą miotłę. Był synem dziwki i stanowił problem dla wszystkich miejscowych – większość z nich bowiem odwiedzała jego matkę i każdy z nich mógł być ojcem Berta. Z jej punktu widzenia, wszyscy oni byli. Nigdy nie chciała zostać kurwą, ponieważ jednak jakaś była potrzebna miastu, zmuszono ją do tego, a w niej przez lata odkładała się gorycz. Zwłaszcza po narodzinach syna zaczęła nienawidzić swych klientów. Był jej

wielką radością, ale i wielkim brzemieniem. Niczego nie pamiętał. Często pytał: „A gdzie tata?”, a ona obojętnie wskazywała przez okno pierwszego mężczyznę, który się nawinał „To twój tata”, mówiła. Wtedy Bert wybiegał i rzucał się mężczyźnie na szyję. Nazajutrz jednak nic już nie pamiętał, więc znowu pytał: „A gdzie tata?” i dostawał innego ojca, tak to się toczyło.

I wreszcie ojciec zobaczył mężczyznę imieniem Willie. Siedział na ławce, ale kiedy Edward się zbliżył, powstał, jak gdyby czekał na mego. Kąciki ust miał wyschnięte i popękane, włosy szpakowate i kruche, oczy małe i czarne. Brakowało mu trzech palców u rąk (dwóch u jednej, jednego u drugiej) i był bardzo stary. Tak stary, iż wydawało się, że nikt z ludzi nie posunął się dalej w czasie, a ponieważ ciągle żył, więc zaczął się cofać. Kurczył się. Zrobił się mały jak dziecko. Poruszył się wolno, jakby nogi po kolana zanurzone były w wodzie, a na ojca spojrzał z posępnym uśmiechem.

– Witaj w naszym miasteczku – powiedział głosem przyjaznym, ale jakoś znużonym. – Pozwolisz, że cię oprowadzę?

– Nie mogę zatrzymać się na dłużej – odparł ojciec. – Jestem tu tylko przejazdem

– Wszyscy tak mówią – rzekł Willie, biorąc ojca pod ramię i wolno ruszając przed siebie. – Dokąd jednak się spieszyć? Warto, byś chociaż spojrzał na to, co mamy tutaj do zaoferowania. O, tutaj, sklepik, miły i nieduży. A tutaj miejsce, gdzie możesz zagrać w

bilard, jeśli masz ochotę. Może ci się tutaj spodobać.

– Dziękuję – odparł Edward, nie chciał bowiem rozgniewać Williego i innych, którzy mu się przyglądali. Zebrała się już nieduża grupka, trzy, może cztery osoby, które szły za nimi krok w krok pustą skądinąd ulicą, a chociaż zachowywali dystans, to spoglądali z jakimś wyczekiwaniem w oczach. – Bardzo dziękuję.

Willie ścisnął go coraz mocniej, pokazując aptekę i księgarnię, a potem – mrużąc chytrze oko – dom, gdzie mieszkała dziwka.

– Słodziutka, naprawdę – powiedział, a potem, jakby coś niemiłego mu się przypomniało, dodał: – Czasami.

Niebo pociemniało jeszcze bardziej i zaczął padać drobny deszcz. Willie uniósł głowę i wystawił twarz na krople, ojciec z lekkim grymasem obtarł policzki.

– Często tu u nas pada – oznajmił Willie – ale przyzwyczaisz się.

– Wszystko tutaj jakieś takie... wilgotne – powiedział ojciec.

Willie zmierzył go spojrzeniem.

– Przywykniesz – powtórzył. – Na tym właśnie wszystko tutaj polega, Edwardzie. Przyzwyczajasz się.

-- Wcale tego nie chcę.

– I do tego, do tego też przywykniesz.

Milcząc, kroczyli we mgle, która gromadziła się wokół ich stóp, deszcz padał im delikatnie na głowy i ramiona, ranek podobny był do zmierzchu w tym dziwnym miasteczku. Na rogach gromadzili się ludzie,

aby się im przyjrzeć, a niektórzy dołączali do rosnącego orszaku. Edward pochwyił spojrzenie chudego mężczyzny w zniszczonym czarnym garniturze. Poznał go. Był to Norther Winslow, poeta. Przed kilkoma laty wyjechał z Ashland do Paryża, aby tam pisać. Wpatrywał się w Edwarda nieomal z uśmiechem, kiedy jednak ten spojrzał na jego prawą dłoń, u której brakowało dwóch palców, Norther pobladł i przyciskając rękę do piersi, zniknął za rogiem. Ludzie pokładali wielkie nadzieje w Northerze.

Na ten widok Willie powiedział:

– Tak, tak, bez przerwy pojawiają się tutaj tacy jak ty.

– Co masz na myśli?

– Normalni ludzie – rzekł Willie i można w tym było poczuć niesmak. Splunął. – Normalni ludzie ze swymi planami. Ten deszcz, wilgoć – to pozostałości. Resztki marzeń: moich, jego, twoich.

– Nie moich – sprzeciwił się Edward.

– Nie – zgodził się Willie. – Jeszcze nie.

Iwłaśnie wtedy zobaczyli psa. Najpierw we mgle zamajaczył nieokreślony kształt, który w ich pobliżu stał się psem. Miał białe plamki na piersi, brązowe końce łap, ale poza tym był czarny. Jego sierść była krótka i lśniąca i wyglądało na to, że nie należy do żadnej konkretnej rasy – pies w ogóle, złożony z kawałków wielu psów. Podchodził do nich wolno, ale bez wahania; nie zatrzymał się ani na chwilę, żeby na przykład obwąchać hydrant albo słup, po prostu szedł do nich w wyraźnym celu, a tym celem był ojciec.

– Co to takiego? – spytał ojciec, a Willie uśmiechnął się.

– Pies – odparł. – Wcześniej czy później przychodzi obwąchać każdego. Raczej wcześniej. Taki trochę stróż, jeśli wiesz, o co mi chodzi.

– Nie, nie rozumiem, o co ci chodzi.

– Zrozumiesz jeszcze – powiedział Willie. – Zrozumiesz. Zawołaj go.

– Zawołać? A jak się wabi?

– Nie ma imienia Nigdy do nikogo nie należał, więc nie miał mu kto dac imienia. Zawołaj po prostu: „Pies!”

– Pies?

– Tak: „Pies”.

Ojciec ukląkł zatem, klasnął w dłonie i w ogóle starał się wyglądać przyjaźnie.

– Ej, piesku! Chodź tutaj! Pies, no, chodź!

A Pies nagle znieruchomiał i wpatrzył się w ojca, co trwało długo – w każdym razie jak na psa. Jakieś pół minuty. Potem sierść mu się na karku zjeżyła, on zaś nie spuszczał ślepi z twarzy ojca. Wargi skurczyły się, a pod nimi ukazały się kły i złowroga różowość dziąseł. Odległy o jakieś dziesięć stop dziko warknął.

– Chyba lepiej go nie drażnić – powiedział ojciec. – Mam wrażenie, że niespecjalnie mnie lubi.

– Wyciągnij rękę – polecił Willie.

– Co takiego? – ojciec na to.

Pies warknął jeszcze groźniej.

– Wyciągnij rękę, żeby mógł ją obwąchać.

– Willie, czy jednak nie uważasz...

-- Powiadam: wyciągnij rękę!

Powoli, z wahaniem ojciec wysunął dłoń. Pies zbliżył się wolno, warczenie w gardle, kły gotowe, aby ugryźć. Ledwie jednak nozdrza dotknęły knykci, pies zaskomlał i zaczął lizać ojca po ręce. Ogon merdał. Serce ojca waliło.

Willie przyglądał się temu ze smutkiem i przynębieniem, jakby został zdradzony.

— To co, mogę już iść dalej? — spytał ojciec i wstał, a pies ocierał mu się o nogi.

— Jeszcze nie — odrzekł Willie i znowu chwycił ojca za ramię, wbijając palce w mięsień. — Najpierw musisz napić się kawy.

Kawiarnia Good Food składała się z jednej dużej sali, podzielonej ściankami z zielonego winylu na boksy, w których znajdowały się stoły z blatami z połyskującej złości formiki. Na blatach leżały papierowe podstawki pod talerze oraz sztuce z zaszłyymi na nich resztkami jedzenia. W środku było ciemno, panowała tu gęsta szarość, a chociaż prawie wszystkie stoliki były zajęte, nie odczuwało się życia, niecierpliwego głodu, który czeka na rychle zaspokojenie. Kiedy jednak Willie i ojciec weszli, wszyscy spojrzeli na nich i uśmiechnęli się, jak gdyby właśnie pojawiło się oczekiwane danie.

Usiedli przy stoliku i chociaż nawet nie odezwali się ani słowem, natychmiast milcząca kelnerka podała im dwie kawy. Dwa czarne dymiące stawiki. Willie wpatrzył się w swoją filiżankę i pokręcił głową.

— Myślisz, że ci się udało, co, synu? — Z uśmie-

chem podniósł kawę do ust. -- Ze prawdziwa duża ryba z ciebie, prawda? Nie pierwszy, którego tu widzimy. Spójrz tam na Jimmy'ego Edwardsa. Gwiazda futbolu. Dobry uczeń. Chciał otworzyć w mieście interes, dorobić się fortuny i w ogóle. Tymczasem nigdy się stąd nie wydostał. Wiesz, zabrakło mu ducha. -- Nachylił się nad stołem i szepnął: -- Pies odgryzł mu lewy palec wskazujący.

Ojciec spojrział i zobaczył, że to prawda. Jimmy wolnym ruchem zdjął rękę ze stołu, schował do kieszeni i odwrócił głowę. Ojciec potoczył wzrokiem po innych, którzy także mu się przyglądali, i zorientował się, że tak samo jest z nimi. Nikt nie mógł się pochwalić wszystkimi palcami, niektórym zostało ledwie kilka. Obrócił się do Williego, aby go spytać o powód, ale ten jakby czytał w jego myślach.

-- Zależy, ile razy chcieli stąd odejść -- wyjaśnił.

-- Czy w ogóle gdzieś indziej, czy żeby wrócić. Ten pies nie żartuje, o nie.

A potem, niczym wezwani przez głos tylko dla nich słyszalny, wszyscy ludzie wstali od stolików, podeszli do ich boksu i stanęli, wpatrzni w Edwarda z uśmiechem. Niektórych pamiętał jeszcze z dzieciństwa. Cedric Fowlkes, Sally Dumas, Ben Lightfoot. Wydawało się, że może widzieć poprzez nich, ale potem coś się stało i już nie mógł.

Spojrział zza nich na drzwi kawiarenki, przy których siedział Pies. Nieruchomy, zaglądał do środka, a ojciec zatarł dłonie, zastanawiając się, na co czeka,

trochę tak, jakby wcześniej przegapił szansę, aby się przemknąć obok Psa. Następnym razem może już nie mieć tyle szczęścia.

Niedaleko od niego stanęła Rosemary Wilcox. Zakochała się w mężczyźnie z miasteczka, chcieli wyjechać, ale tylko jemu się udało. Ciemne oczy zapadły się w pięknej ongiś twarzy. Pamiętała ojca z czasów, gdy był małym chłopcem, a teraz powiedziała, że tak miło zobaczyć go znowu, takiego dużego, wysokiego i przystojnego.

Coraz więcej ludzi gromadziło się wokół boksu, robił się ścisk i ojciec nie mógł się już poruszyć. Nie było miejsca. Do rogu boksu stał przyciśnięty mężczyzna starszy od Williego. Wydawał się skamieniały za życia. Wyschnięta skóra ciasno opinała się na kościach, niebieskie żyły przywodziły na myśl zamrznęte strumyki.

— Ja... ja to bym nie ufał temu psu — powiedział wolno. — Nie ryzykowałbym, synu. Nie ugryzł cię tym razem, ale następnym — nie wiadomo. Nieprzewidywalny i tyle. Siedź więc tutaj, nie ruszaj się, a nam opowiedz o świecie, w który chcesz wyruszyć, i rzeczach, które chcesz znaleźć.

I starzec przymknął oczy, tak samo zrobił Willie, tak samo zrobiła reszta i wszyscy czekali, aby usłyszeć o tym pięknym świecie, który czekał na ojca ■ — tego był pewien — tuż za rogiem, po drugiej stronie tego ciemnego miejsca. Więc opowiedział im, a kiedy skończył, wszyscy się śmiali i dziękowali mu.

— To było fajne — powiedział starzec.

– Może jutro byśmy to powtórzyli? – ktoś zaproponował.

– Tak, tak, jutro – szepnął ktoś inny.

– Dobrze, że cię mamy – zwrócił się do ojca starzec. – Dobrze, że jesteś tu z nami.

– Znam tu jedną miłą dziewczynę – stwierdziła Rosemary. – Jest także ładna. Trochę podobna do mnie. Bardzo bym się cieszyła, jakbym was połączyła, wiesz chyba, o co mi chodzi...

– Przepraszam – rzekł ojciec, przenosząc wzrok z jednej twarzy na drugą. – Zaszło jakieś nieporozumienie. Nie zamierzam tutaj zostać.

– A jakże, nieporozumienie – powiedział Ben Lightfoot i popatrzył na ojca z głęboką pogardą.

– Ale my cię nie puścimy – oznajmiła miękko Rosemary.

– Muszę jechać – rzekł stanowczo ojciec i usiłował wstać, ale nie mógł, gdyż tłum napierał zewsząd.

– Zostań chociaż na trochę – zaproponował Willie. – Kilka dni.

– Poznasz nas lepiej – powiedziała Rosemary i swą okropną ręką odgarnęła włosy z oczu. – A wtedy zapomnisz o całej reszcie.

Ale nagle za plecami mężczyzn i kobiet rozległ się jakiś szmer, krzyk, warknięcie i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki ludzie się rozpierzchli. Był to Pies. Warknął okropnie, pokazał swe straszliwe kły, a wszyscy cofnęli się, przyciskając ręce do piersi, przed ociekającym śliną potworem. Ojciec skorzystał z okazji i nie patrząc za siebie, rzucił się w powstałe przejście.

Biegł w ciemności, aż znowu zrobiło się jasno, a dookoła wszystko pozieleniało i wypiękniało. Asphalt przemienił się w żwir, żwir – w piasek, a piękno magicznego świata zdało się w zasięgu ręki. Kiedy droga się skończyła, ojciec przystanął, żeby złapać oddech, a wtedy tuż za sobą ujrzał zziąjanego Psa, który otarł się ciepłym ciałem o jego nogi. Ruszyli przed siebie. Słychać było tylko wiatr w drzewach i ich kroki na ledwie widocznej ścieżce. Znienacka skończył się las, a przed nimi rozpostarło się jezioro, ogromne zielone jezioro, wielkim łukiem ciągnące się tak daleko, jak tylko okiem mógł sięgnąć, a na brzegu nieopodal widać było drewniany pomost kołyszący się na falach. Kiedy znaleźli się przy nim, Pies nagle padł, jakby w jednej chwili pozbawiony wszystkich sił. Ojciec rozejrzał się wokół, dumny jakoś, słońce chowało się za ścianą drzew, on zaś zaciągnął się powietrzem, zanurzył palce w miękkiej skórze na karku zwierzęcia i zaczął masować jego mięśnie ze staranną ostrożnością, jak gdyby masował mięsień swego serca, a Pies zaczął po psiemu pomrukiwać. Słońce więc zaszło, wzeszedł księżyc, woda na jeziorze leciutko się zmarszczyła i wtedy w białym świetle księżycy zobaczył dziewczynę, której głowa dziurawiła powierzchnię spory kawał od brzegu. Woda spływała jej z włosów do jeziora, ona zaś śmiała się. Ona się śmiała i śmiał się także mój ojciec. Wtedy pomachała. Pomachała do ojca, on zaś odpowiedział jej tym samym.

– Hej! – krzyknął, machając do dziewczyny. –

Do widzenia!

W nowym świecie

O pierwszym dniu ojca w świecie, w którym miał zamieszkać, najlepiej chyba opowiada ktoś, kto z nim pracował, Jasper „Buddy” Barron. Buddy był wiceprezesem Bloom Inc. i kiedy ojciec poszedł na emeryturę, przejął po nim ster.

Buddy był strojnisiem. Nosił bladożółty krawat, biznesowy granatowy garnitur, czarne buty i owe cienkie, niemal przezryste skarpetki w tym samym odcieniu co garnitur, które nie wiadomo jak daleko wspinały się po łydce. Miał aksamitną chusteczkę, która niczym domowa tresowana myszka wyglądała znad krawędzi małej kieszonki po lewej stronie marynarki. Był też pierwszym i jedynym znanym mi mężczyzną, którego skronie się srebrzyły, tak jak o tym piszą w książkach. Reszta włosów była ciemna, dorodna i zdrowa, a przedziałek biegł przez środek głowy niczym polna droga, odsłaniając nitkę różowej skóry.

Opowiadając tę historię, lubił z uśmiechem odchyłać się w fotelu.

– Był to tysiąc dziewięćset któryś – zaczynał.
– Dawniej niż ktokolwiek z nas chce pamiętać. Edward właśnie opuścił dom. Miał siedemnaście lat. Po raz pierwszy w życiu był zdany tylko na siebie, ale czy się tym martwił? Nie, nie martwił się: matka dała mu na drogę parę dolarów – dziesięć, może dwanaście – w każdym razie i tak więcej, niż kiedykolwiek dotąd miał w życiu. No i miał też swoje marzenia. To

marzenia dodają człowiekowi sił, William, a twój ojciec to już było najprawdziwsze cesarstwo marzeń. Gdybyś jednak na niego spojrział tego dnia, gdy opuścił swe rodzinne miasteczko, nie zobaczyłbyś wiele więcej niż przystojnego młodzieńca z marną kurtką na grzbiecie i dziurami w butach. To znaczy, dziur raczej byś nie zobaczył, ale były tam, Williamie, możesz mi wierzyć.

Pierwszego dnia przeszedł trzydzieści mil. Spał tej nocy pod gwiazdami na podściółce z sosnowych igieł. I wtedy, owej właśnie nocy, ręka losu po raz pierwszy szarpnęła twego ojca za sprzączkę u paska. Kiedy bowiem spał tak sobie smacznie, dwóch włóczęgów skatowało go niemal na śmierć i zabrało mu wszystkie pieniądze, co do dolara. Ledwie wprawdzie uszedł z życiem, ale kiedy po trzydziestu latach po raz pierwszy opowiedział mi tę historię – a wspaniale to, moim zdaniem, świadczy o Edwardzie Bloomie – stwierdził, że gdyby znowu spotkał tych ludzi, tych opryszków, którzy go skatowali niemal na śmierć i pozbawili ostatniego dolara, podziękowałby im – podziękowałby! – gdyż w jakiś sposób przesądziło o dalszym biegu jego życia.

Wtedy jednak, kiedy bliski śmierci leżał w ciemności obcego lasu, daleko mu było do wdzięczności. Zanim się rozwidniło, doszedł jakoś do siebie, a chociaż krwawił z licznych ran na ciele, wstał i poszedł przed siebie, nie bardzo się troszcząc o to, dokąd idzie – po prostu szedł, gotów na przyjęcie tego, czym w następnym posunięciu chciało w niego cisnąć Życie

czy Los, aż wreszcie dotarł do starego sklepu przy drodze. Przed wejściem stary mężczyzna bujał się na fotelu, tam i z powrotem, a na zbliżającą się zakrwawioną postać spoglądał z wyraźnym przestraszaniem. Zawołał żonę, ta przywołała córkę i nie minęło pół minuty, a na wlokącego się ku nim Edwarda czekał już cebrzyk z gorącą wodą, ręcznik i pęk bandaży z podartych naprędce prześcieradeł. Ludzie ci byli gotowi ratować życie obcemu. Mało: gotowi – bardzo chcieli je ratować.

Ale on, rzecz jasna, nie pozwolił im na to. Nie mógł się zgodzić, by uratowali mu życie. Człowiek o takiej sile ducha jak twój ojciec – a takich jest niewiele, Williamie, bardzo niewiele, a od reszty dzieli ich wielki dystans – nigdy nie zaakceptowałby podobnej łaski z cudzej ręki, nawet wtedy, gdy stawką jest życie lub śmierć. Jak bowiem miałby żyć w zgodzie z sobą samym – jeśli w ogóle przeżyje – gdyby wiedział, że jego życie tak nierozdzielnie związało się z innymi, gdyby wiedział, że nie tylko od siebie samego zależy?

Krwawiąc przeto, z jedną nogą złamaną w dwóch miejscach, Edward znalazł w kącie miotłę i zamiótł sklep. Potem zaś znalazł mop i wiaderko, a pasja wrzała w nim tak wielka, że zupełnie zapomniał o swych otwartych ranach, dopiero więc, kiedy już zmył całą podłogę, zobaczył, że zostawił na niej krwawe ślady. Znowu więc chwycił mop, a potem padł na kolana i ze ścierką w ręku szorował podłogę, a sklepikarz, żona sklepikarza i ich córka patrzyli na to

ze zgrozą. Ze zgrozą i przerażeniem, Williamie. Patrzyli na człowieka, który z sosnowych desek zmywa ślady własnej krwi. Było to niemożliwe, zupełnie niemożliwe – a jednak on nie rezygnował. Tak właśnie było, Williamie: uparcie nie rezygnował, szorował 1 szorował, aż wreszcie już nie mógł i ze szmatą w zaciśniętej dłoni padł twarzą na podłogę – martwy.

Tak przynajmniej pomyśleli. Pomyśleli, że nie żyje. Rzucili się do jego ciała, ale ciągle się w nim kolebała odrobinka życia. A w scenie tej – tak jak mi ją twój ojciec opisał – było coś z *Piety* Michała Anioła: matka, silna kobieta, podniosła go z podłogi i trzymała w ramionach, tego człowieka młodego i konającego, modląc się o jego życie. A kiedy pozostała dwójka patrzyła na to z bliska, on otworzył oczy i wypowiedział słowo, które mogło być jego ostatnim w życiu słowem, a mianowicie do starca, w którego sklepie, jak Edward natychmiast zauważył, nie było klientów, w tchu być może ostatnim rzekł: „Reklama!”

Buddy na chwilę zawiesił głos, aby słowo utrwaliło się w pamięci.

– Reszta to już historia, jak mówią. Ojciec wydobrzeł. Odzyskał siły. Orał pole, uprawiał ogród, pomagał w sklepie. Uwijał się po okolicy, rozklejając małe karteczki reklamujące przydrożny sklep Bena Jimsona. Nie uważał, by ową przydrożność należało podkreślać, dlatego na plakacikach pisał po prostu 0 sklepie. I, jak się okazało, miał raqę. To wówczas ojciec twój wymyślił hasło: „Za jeden płacisz, drugi za darmo”. Sześć krótkich słów, Williamie, a przecież to

one uczyniły Bena Jimsona bogaczem.

Niemal rok został u Jimsonów, zdobywając pierwszy zarobek i pierwsze oszczędności. Świat otworzył się przed nim niczym czarowny kwiat. Jak widzisz – mówił Buddy, jednocześnie wskazując złocenia 1 drogie skóry swego gabinetu, a także lekko kiwając głową w moim kierunku, jakbym i ja był owocem legendarnej przedsiębiorczości ojca – jak na chłopca z małego Ashland w Alabamie, całkiem nieźle mu poszło.

Część II

Stara dama i oko

Opuściwszy Jimsonów, ojciec trochę wędrował, z miasteczka przenosił się do miasteczka, a przeżył przy tym wiele przygód i poznał licznych interesujących oraz fascynujących ludzi. W tej wędrowce miał jednak cel, był w tym pewien zamiar, jak zresztą we wszystkim, co ojciec robił. Życie udzieliło mu swoich lekcji, postanowił więc swą znajomość natury świata poszerzyć dzięki studiom w college'u. Dowiedział się, że jest taki w mieście o nazwie Auburn i tam właśnie zmierzał.

Dotarł do Auburn wieczorem, zmęczony i głodny, a pokój znalazł u starej kobiety, która przyjmowała obcych. Nakarmiła go i dała łóżko do spania. Spał trzy dni i trzy noce, a kiedy się zbudził, znowu czuł w sobie siły, jego ciało i umysł przepelniała jasność. Podziękował starej kobiecie za opiekę i zaoferował pomoc, jakiej tylko będzie potrafił udzielić.

Tak się tymczasem złożyło, że była ta kobieta jednooka. Drugie oko, ze szkła, wyjmowała każdego wieczoru i wkładała do ustawionej na stoliku przy łóżku szklanki z wodą.

Ponieważ zaś kilka dni przed przybyciem ojca jacyś smarkacze włamali się do domu staruszki i skradli jej oko, więc teraz powiedziała, że byłaby bardzo wdzięczna, gdyby ojciec odnalazł oko i jej zwrócił. Ojciec poprzysiągł, że tak właśnie zrobi, i z samego rana wyruszył na poszukiwania.

Dzień był chłodny i jasny, a ojciec pełen nadziei.

Miasto Auburn zostało tak nazwane za sprawą wiersza¹, a podówczas było wielkim centrum uczo-
ności. Młodzi ludzie, żądni wiedzy o sekretach świata, tłoczyli się w ciasnych klasach i chłonęli słowa perypatetykujących przed nimi profesorów. Tam właśnie pragnął się znaleźć Edward.

Z drugiej strony wielu było tutaj takich, którzy przybyli tylko po to, aby zbijać bąki, i łączyli się w grupy z innymi, podobnymi do siebie. Wystarczyło niewiele czasu, aby ojciec ustalił, że to jedna z takich grup włamała się do domu kobiety i skradła jej oko.

W rzeczy samej oko zdobyło już sobie niejaką sławę i z wielkim upodobaniem było omawiane przez pewne indywidua, z którymi Edward Bloom sprytnie

¹ Oliver Goldmish (1730-1774) – irlandzki pisarz i dziennikarz, jest autorem wiersza *The Diserted Village*, zaczynającego się od słów *Sweet Auburn! loveliest village of the plain*; jest wiele miejscowości o tej nazwie, a inspiracją był wielokrotnie ów wiersz (przyp. tłum.).

się zaprzyjaźnił.

Wieść głosiła, iż oko ma magiczną moc.

Wieść głosiła, że może widzieć.

Wieść głosiła, że zły los spotka tego, kto spojrzy prosto w nie, wtedy bowiem zobaczy cię jego właścicielka i ciemną nocą wytropi, by czynić rzeczy niewyobrażalne.

Oko nigdy nie znalazło się dwa razy w tym samym miejscu. W ramach rytuału inicjacyjnego każdej nocy dawane było innemu chłopakowi, który miał zadbać o to, aby oku nie przytrafiła się żadna krzywda. Delikwentowi przez całą noc nie wolno było się zdrzemnąć, miał bowiem strzec oka owiniętego w miękką czerwoną szmatkę i umieszczonego w drewnianym pudełku. Rano oko wracało do przywódcy grupy; ten wypytywał chłopaka, ostrożnie oglądał oko i odprawiał tymczasowego opiekuna.

Edward bardzo szybko dowiedział się tego wszystkiego.

Zrozumiał, że aby zwrócić oko właścicielce, musi zostać jednym z tych, którzy biorą je na noc pod opiekę. I o to się postarał.

Zdradził się ze swym pragnieniem nowemu przyjacielowi, z oddali go oceniono i usłyszał, że wieczorem ma się stawić w stodole leżącej kilka mil za miastem.

Stodoła była ciemna i koślawa, zawiasy zaskrzyślały, gdy otwierał drzwi. W kątach tańczyły cienie rzucone przez światło świec wciśniętych w metalowe uchwyty na ścianach. Z tyłu siedziało w półkołu sześć

ludzkich postaci, wszystkie w ciemnobrązowych kapturach zrobionych z juty.

Na małym stoliku przed nimi leżało oko kobiety – niczym klejnot spoczywało na aksamitnej poduszeczce.

Edward bez trwogi zbliżył się do nich.

– Witaj – powiedział ten, który siedział w środku. – Zasiądź, proszę.

– Cokolwiek jednak uczynisz – przestrzegł zło-wieszczo inny – nie spoglądaj w to oko!

Ojciec usiadł na ziemi; w oko nie spoglądał.

Po chwili spytał ten, który siedział w środku:

– Po coś tu przybył?

– Po oko – odrzekł Edward. – Przyszedłem po oko.

– To ono cię tu przyzwało, czyż nie? Słyszałeś, jak wzywa cię oko?

– Tak – odrzekł Edward. – Słyszałem, jak mnie wzywa.

– Weź je zatem, umieść w pudełku, czuwaj nad nim przez całą noc, a rano odnieś je tu z powrotem. Gdyby jednak oku coś się przytrafiło...

Ów siedzący pośrodku urwał, a pozostali ponuro mruknęli.

– Gdyby jednak oku coś się przytrafiło -- - powtórzył mówca – gdyby zginęło albo się stłukło...

Ponownie zamilkł i wpatrzył się w ojca przez szczeliny wycięte w kapturze.

– ..wtedy w zamian odejmiemy ci jedno z twoich oczu.

Sześć kapturów zgodnie pokiwało.

– Rozumiem – rzekł ojciec, którego wcześniej nie powiadomiono o tym warunku.

– Do jutra zatem.

-- Tak, do jutra – powiedział ojciec.

Edward opuścił stodołę, pogрузzył się w mroku nocy i ruszył w kierunku świateł Auburn głęboko zamysłony. Nie wiedział, co począć. Czy naprawdę wydlubią mu oko, jeśli nazajutrz nie zwróci tego szklanego? Zdarzyło się coś jeszcze dziwniejszego. Trzymając pudełko w prawej ręce, lewą dotknął swych oczu, każdego po kolei, i zastanawiał się, jak by to było, gdyby jednego z nich zabrakło, i czy istotnie winien dochować złożonej kobiecie przysięgi, skoro tak wielka była stawka. Wiedział, że zakapturzone postacie być może wcale nie zamierzają odjąć mu oka, ale nawet gdyby prawdopodobieństwo tego liczyło raptem dziesięć procent albo nawet jeden tylko procent, czy warto ryzykować? Ostatecznie on miał oczy prawdziwe, a to kobiece było tylko szklane...

Przez całą noc czuwał przy oku, wpatrywał się w jego lśniąca niebieskość, aż wreszcie rankiem nad czubki drzew wzbilo się słońce, które wydało mu się promiennym okiem jakiegoś zapomnianego boga.

W dziennym świetle stodoła wyglądała inaczej – już nie tak groźnie. Wyglądała po prostu jak stara stodoła, z brakującymi dachówkami i sianem sterującym z dziur w ścianach jak pierze z poduszki. Na łące krowy żuły trawę, a stary gniady koń przywiązany do płotu zadzierał chrapy w powietrze. Edward za-

wahał się przy drzwiach, ale po chwili popchnął je; tym razem skrzyp zawiasów nie był tak ostry.

– Spóźniłeś się – powiedział ktoś.

Spojrzał na koniec stodoły, ale nie było tam żadnych zakapturzonych postaci, a tylko sześciu uczniów college[^], mniej więcej w wieku Edwarda i ubranych jak on: sportowe buty, spodnie khaki, jasnoniebieskie bawełniane koszule na guziki.

– Spóźniłeś się – powtórzył głos, a Edward rozpoznał, że to ten sam co wczoraj wieczorem. Mówiący siedział pośrodku i z pewnością on był przywódcą. Edward wpatrywał się w niego przez chwilę, a potem rzekł:

– Przepraszam, ale ktoś mnie zatrzymał.

– Masz oko? – spytał tamten.

– Tak Jest tutaj.

Szef wskazał palcem pudełko, które Edward trzymał w dłoni.

- - Daj no je.

Edward wręczył pudełko, a inni nachylili się, aby zajrzeć do środka. Patrzyli jakąś chwilę, a potem jak na komendę spojrzeli na Edwarda.

– Nie ma – syknął ich wódz, a jego twarz poczerwieniała z wściekłości. – Nie ma oka! – wrzasnął.

Poderwali się i rzucili w jego kierunku. Edward tymczasem uniósł dłoń.

– Powiedziałem, że oko jest tutaj, ale nic nie mówiłem, że w pudełku.

Zatrzymali się w obawie, że ojciec ukrył gdzieś

oko na sobie, i jeśli rzuca się na niego, mogą je uszkodzić.

– Oddawaj! – krzyknął przywódca. – Nie masz prawa! Ono należy do nas!

– Doprawdy?

W teże chwili drzwi stodoły skrzypnęły, a kiedy wszyscy spojrzeli w ich kierunku, zobaczyli, jak zmierza ku nim stara dama z okiem znowu usadowionym na miejscu.

– Co...? – zaczął jeden i rozejrzał się po pozostałych. – Kto...

– Oto i oko – rzekł ojciec. – Mówiłem wam, że jest tutaj.

Wszyscy sami teraz widzieli, że oko istotnie jest tutaj, co prawda nie w pudełku, ale w głowie kobiety. Chcieli się wprawdzie rzucić do ucieczki – ale nie mogli. Chcieli się wprawdzie odwrócić – ale nie mogli, a gdy ona zaglądała w twarz kolejno każdemu z nich, każdy z nich spoglądał głęboko w owo oko i ponoć mogli tam zobaczyć swoją przyszłość. Jeden krzyknął przeraźliwie, inny zapłakał, jeszcze inny gapił się w oko, nic nie rozumiejąc, a potem przeniósł wzrok na ojca, jak gdyby ujrzął go teraz dopiero po raz pierwszy.

Jeszcze chwila i było po wszystkim, oni zaś skoczyli do drzwi i wybiegli w jasny poranek.

Od tego zaczął się krótki pobyt Edwarda w Auburn, podczas którego nikt już mu się nie naprzykrzał, wszyscy bowiem sądzili, że jest pod opieką starej damy i jej wszechwidzącego oka. Zaczął uczęszczać do

college'u i został najlepszym uczniem. Miał dobrą pamięć – zapamiętywał wszystko, co przeczytał i zobaczył. Zapamiętał twarz chłopaka, który przewodził owej grupie, tak jak on zapamiętał twarz Edwarda.

A była to twarz mężczyzny, którego moja matka nieomal poślubiła.

Śmierć ojca: ujęcie drugie

Tak to się dzieje. Stary doktor Bennett, nasz lekarz rodzinny, wychodzi z pokoju gościnnego i cicho zamyka za sobą drzwi. Bardziej niż wiekowy, wygląda jak zostawiony na słońcu ogryzek jabłka. Był podczas mych narodzin i już wtedy był stary. Matka i ja siedzimy w saloniku i czekamy na jego słowa. Wyjmuje stetoskop z uszu i bezradnie patrzy na nas.

– Nic już nie poradzę – mówi. – Żałuję. Jeśli macie jakieś sprawy, które trzeba by wyjaśnić z Edwardem, jeśli chcielibyście mu coś jeszcze powiedzieć, teraz może... – Pozwala, by głos posępnie zamilkł.

Spodziewaliśmy się czegoś takiego, tej ostatniej diagnozy. Matka i ja wzdychamy. W tym, jak napięcie ustępuje z naszych ciał, jest i smutek, i ulga, patrzymy na siebie przeciągle – to jedyne na całe życie spojrzenie. Jestem nieco zdziwiony, że taki dzień w końcu nastąpił, chociaż bowiem rok temu doktor Bennett dawał mi nie więcej niż rok życia, ojciec umierał tak długo, że w jakiś sposób zacząłem przypuszczać, że będzie tak już umierał zawsze.

– Może ja pierwsza – odzywa się matka. Wygląda na obolałą, poturbowaną, uśmiech ma martwy,

choć dziwnie jakoś spokojny. – Chyba, że ty wolisz.

– Nie – mówię. – Ty najpierw, a potem...

– Gdyby coś...

– Jasne. Zawołasz mnie.

Nabiera tchu, wstaje, niczym lunatyczka wchodzi do pokoju, zostawiając za sobą otwarte drzwi. Doktor Bennett, trochę skulony, jakby wiek nadtapiał kości, stoi pośrodku pokoju w czujnym skupieniu, zadumany nad siłami życia i śmierci. Po kilku minutach matka wraca, ociera łzę z policzka i obejmuje doktora Bennetta. Zna go dłużej niż ja, myślę. Także i ona jest stara, ale przy nim wygląda na wieczyste młodą. Wygląda na młodą kobietę, która niebawem ma zostać wdową.

– Williamie – powiada.

Więc wchodzi. Pokój jest mroczny, panuje w nim szarość popołudniowej drzemki, chociaż za zasłonami widać światło, które usiłuje dostać się do środka. To nasz pokój gościnny. Zanim skończyłem szkołę, koledzy tutaj spali, gdy zostawali u nas na noc, a teraz to pokój, gdzie ojciec umiera, prawie już umarł. Kiedy wchodzi, uśmiecha się. Umierając, ma w oczach to coś, co czasem mają umierający: radość i smutek, zmęczenie i duchową jasność, jedno i drugie naraz. Widywałem to w telewizji. Kiedy główny bohater umiera, aż do końca zachowuje dziarskość, słabnącym głosem udziela rad swoim bliskim, z fałszywym optymizmem wypowiada się na temat swoich rokowań i wszyscy płaczą, bo on trzyma się tak

dzielnie. Z ojcem jest inaczej. Wcale nie jest dziarski, nie robi sobie fałszywych nadziei. W gruncie rzeczy jest tak, jakby mówił śmiało: „Dlaczego ja jeszcze żyję? Czuję, że powinienem umrzeć już dawno temu”.

Tak też zresztą i wygląda. Jego ciało, odrobinę tylko więcej niż w średnim wieku, wygląda tak, jakby je wykopano z ziemi i ożywiono do kolejnego użycia. Nigdy nie miał przesadnie dużo włosów – bardzo wcześnie zaczął je zaczesywać – ale teraz wszystkie zniknęły, skóra zrobiła się tak dziwna i biała, że kiedy na nią patrzę, jedyne określenie, jakie mi przychodzi do głowy, to „zsiadła”.

Ojciec mi się zsiadł.

– Wiesz, na co mam ochotę? – pyta tego dnia.

– Na co, tato?

– Na szklankę wody – mówi. – Szklanka wody teraz to byłby strzał w dziesiątkę.

– Załatwione – powiadam i przynoszę mu szklankę wody, którą drżącymi rękami podnosi do ust, trochę ulewa na brodę i patrzy na mnie takim wzrokiem, jakby chciał powiedzieć, że gdyby to od niego zależało, pożyłby jeszcze długo – a przynajmniej dłużej, niż mu jest dane – nie zmuszając mnie do oglądania, jak rozlewa wodę na brodę.

– Przepraszam – mówi.

– Nie przejmuj się – ja na to. – Nie było tego tak dużo.

– Nie o to mi chodzi – mruczy i patrzy na mnie zbolałym wzrokiem.

– Dobra, tak czy owak przeprosiny przyjęte. Ale

wiesz, naprawdę bardzo dzielnie to znosisz. Mama i ja jesteśmy z ciebie dumni.

Na co on nic nie odpowiada, chociaż bowiem umiera, ciągle jest moim ojcem i nie lubi, żeby traktować go jak przedszkolaka. W ciągu zeszłego roku zamieniliśmy się miejscami: ja stałem się ojcem, a on chorym synem, którego zachowanie w tej bardzo trudnej sytuacji uważam za godne pochwały.

– Och, chłopcze – powiada słabo, jakby go ktoś zdzielił w głowę. – O czym to mówiliśmy?

– O wodzie – przypominam, a on kiwa głową i pije następny łyk.

Potem uśmiecha się.

– Co takiego zabawnego?

– Pomyślałem, że zdążę zwolnić pokój gościnny, zanim się pojawią goście.

Śmieje się, czy też wydaje to, co obecnie uchodzi za śmiech, a co jest pełnym wysiłku chrypieniem. To on jakiś czas temu zdecydował, że przeniesie się do pokoju gościnnego. Chciał wprawdzie umrzeć w domu, ale nie chciał umierać w sypialni, którą przez kilka dekad dzielił razem z mamą, gdyż bał się, że będzie ją to męczyło w przyszłości. Fakt, że umrze i usunie się z pokoju gościnnego, zwalniając go dla krewnych, którzy przyjadą na pogrzeb, jest dowcipem, który przez ostatnie parę tygodni powtórzył kilkunastokrotnie, za każdym razem tak, jakby dopiero co na niego wpadł. Zresztą mam wrażenie, że tak właśnie jest, gdyż niezmiennie robi to z tą samą świeżością, a ja nie mogę się nie uśmiechnąć na widok

tych usiłowań.

I zastygamy tak z uśmiechami przyklejonymi do twarzy, zupełnie jak para idiotów. Co teraz powie-
dzieć, co załagodzić w tych ostatnich minutach ostat-
niego dnia, który już na resztę życia wyznaczy granicę
między przedtem i potem, który zmieni wszystko dla
nas obu: żywego i martwego? Jest trzecia dziesięć po
południu. Na zewnątrz króluje lato. Z rana
planowałem, że wieczorem pójde do kina z kolegą z
college'u. Matka robi na obiad zapiekankę z ba-
kłażanów; rozłożyła na blacie w kuchni wszystkie
składniki. Przed przyjściem doktora Bennetta wy-
szedłem i popływałem trochę w basenie, w którym do
niedawna ojciec niemal bez przerwy przesiadywał,
gdyż pływanie było jedynym ćwiczeniem fizycznym,
na które było go jeszcze stać. Basen jest zaraz za
oknem pokoju gościnnego. Matka przypuszcza, że
moje pływanie czasami go budzi, ale lubi je słyszeć.
Mówi, że chlust wody sprawia, że sam czuje się trochę
zmoczony.

Idiotyczne uśmiechy powoli znikają nam z twarzy,
w końcu po prostu patrzymy na siebie.

– Wiesz – mówi ojciec – będzie mi ciebie bra-
kowało.

– A mnie ciebie.

– Naprawdę?

– Pewnie, tato. Ja przecież...

– ...tu zostanę. Wychodzi na to, że to tylko na
ciebie spadnie tęsknota.

– Czy... – zaczynam niepewnie, jakby słowa

narzucal mi jakiś wewnętrzny przymus – ...czy wierzysz...

Urywam. Niepisana reguła życia rodzinnego brzmi, że z ojcem lepiej nie rozmawiać o religii i polityce. Kiedy tematem staje się religia, nie mówi nic, kiedy polityka – nie można go powstrzymać od mówienia. Po prawdzie, o większości spraw trudno z nim rozmawiać. To znaczy, chodzi mi o sprawy istotne, ważne, te, które się liczą. Jakoś stało się to dla niego za trudne, a może ryzykowne i żenujące, gdyż oto bardzo inteligentny człowiek zapomniał więcej faktów z geografii, matematyki i historii, niż ja kiedykolwiek znałem (znał stolice wszystkich pięćdziesięciu stanów i wiedział, gdzie się dotrze, gdy z Nowego Jorku poleci się dokładnie na wschód). Poddaję zatem cenzurze swoje wypowiedzi, jak potrafię, ale czasami wymkną się jakieś niedelikatne słowa.

– W co? – • pyta, unieruchamiając mnie tymi swoimi oczyma, małymi, niebieskimi, usidlając mnie nimi. Więc mówię:

– W niebo.

– Czy wierzę w niebo?

– I w Boga, i w tę całą resztę – dorzucam, gdyż nie wiem. Nie wiem, czy wierzy w Boga, w życie po śmierci albo w jakąś możliwość, że możemy wrócić jako coś czy ktoś. Nie wiem także, czy wierzy w piekło, aniołów, Pola Elizejskie czy potwora z Loch Ness. Nigdy nie rozmawialiśmy o takich sprawach, gdy był zdrowy, a kiedy zachorował, jedynymi tema-

tami były leki, drużyny sportowe – których wyników nie mógł już śledzić, gdyż zasypiał w chwili, gdy ktoś włączył telewizor – a także jak sobie poradzić z bólem. Sądzę, że i teraz zignoruje moje pytanie, ale jego oczy nagle się rozszerzają i jaśniejają, jakby znie-nacka zafascynowała go perspektywa, co go czeka po śmierci – oprócz pustego pokoju gościnnego. I jakby taka myśl po raz pierwszy przyszła mu do głowy.

– Też pytanie – mówi, a głos robi się mocny. – Wydaje mi się, że nie mogę powiedzieć ani „tak”, ani „nie”. Ale wiesz, to mi przypomina – tylko mi przerwij, jeśli już ci to opowiadałem – jak pewnego dnia Pan Jezus zastępował świętego Piotra przy bramie niebios. Dał mu wolne, a tu szurając nogami, idzie do nieba jakiś człowiek. „Czym sobie zasłużyłeś na wejście do królestwa niebieskiego?”, pyta Jezus. Na co tamten: „Nie zrobiłem nic wielkiego, jestem biednym stolarzem, który prowadził spokojne życie. Właściwie tylko jednym mogę się pochwalić: synem”. Jezusa to zainteresowało, więc pyta: „Synem?” „Tak, nieźle mi się udał. Miał bardzo niezwykłe narodziny, a potem przeszedł wielką przemianę. Stał się znany na całym świecie i ciągle kocha go bardzo wielu ludzi”. Chrystus chwyta go w ramiona, ściska i krzyczy: „Ojcze, ojczy!” A tamten też go przytula i pyta: „Pinokio?”

On chrypi, ja śmieję się i kręcę głową.

– Już to słyszałem.

– W takim przypadku miałeś mi przerwać – mówi, najwyraźniej wyczerpany opowiadaniem. – Jak myślisz, ile mi jeszcze oddechów zostało? Chyba

szkoda, żebym je marnował na opowiadanie kawałów po raz drugi.

– Ale chyba jakoś ostatnio nie przybyło ci nowych. Tak czy owak, są pierwsza klasa. Antologia: „Zebrane kawały Edwarda B. I. o. om. a”. Naprawdę fajne, możesz się nie martwić. Ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– Jakie pytanie?

Nie wiem, czy się śmiać, czy płakać. Całe życie przeszedł jak żółw, w emocjonalnym pancerzu, który stanowił znakomitą ochronę – nie ma mowy, żeby coś się przebiło do wewnątrz. Mam nadzieję, że w tych ostatnich momentach pokaże mi wrażliwe, czułe podbrzusze swej osobowości, ale nic takiego nie następuje. Doprawdy byłem głupcem, oczekując czegoś innego. Od samego początku zawsze tak się to rozgrywało – ilekroć zbliżaliśmy się do czegoś ważnego, trudnego czy delikatnego, opowiadał dowcip. Tymczasem jest jakieś „przenigdy”, „tak” czy „nie”, „co ty o tym sądzisz”, w tym, moim zdaniem, tkwi sens życia.

– Jest jakiś sens? – pytam, jak gdyby potrafił czytać w moich myślach.

I jakoś potrafi.

– Nigdy nie czułem się zręcznie, podejmując wprost takie tematy – mówi, poruszając się niezręcznie pod prześcieradłem. – Kto tutaj wie coś na pewno? Dowody są niemożliwe. Jednego dnia myślę więc „tak”, a drugiego „nie”. A jeszcze innego jestem niezdecydowany. Czy istnieje Bóg? Bywają dni, kiedy

naprawdę wierzę, że tak, potem przychodzą takie, kiedy nie jestem już pewien. W tej sytuacji, która tak bardzo odbiega od idealnej, dobry żart wydaje się czasami najlepszy. Przynajmniej można się pośmiać.

– Ale kawał jest śmieszny przez minutę, dwie i koniec. Nic po nim nie zostaje. Nawet jeśli każdego dnia zmieniasz opinię, wołałbym... chciałbym, żebyś się tym ze mną dzielił. Nawet wątpliwości byłyby lepsze od tego potoku dowcipów.

– Masz rację – mówi, głęboko odchyła się na poduszkach i spogląda w sufit, jak gdyby nie mógł uwierzyć, że właśnie ten czas musiałem sobie wybrać na takie naleganie. To brzemię i widzę, jak mu ciąży, wypiera z niego życie, aż trudno mi pojąć, że to zrobiłem, tak właśnie powiedziałem. – Ale gdybym opowiadał ci o moich wątpliwościach w związku z Bogiem, miłością, życiem i śmiercią, tyle też by ci zostało: pęk wątpliwości. A tak przynajmniej zostaną te wszystkie świetne kawały.

– Nie wszystkie są takie świetne.

Centralne ogrzewanie szumi i porusza zasłony. Strugi światła przemykają się, widać w nich pyłki. W pokoju panuje lekki zaduch, myślałem, że do niego przywyknę, ale nie. Zawsze przyprawia mnie o mdłości i teraz też czuję, jak wzbierają. Albo zaduch, albo szok, że oto w kilka sekund dowiedziałem się o ojcu więcej niż przez całe życie, które je poprzedziło.

Zamyka oczy, a mnie opada strach, serce mi skacze, chyba powinienem zawołać matkę, ale kiedy się ruszam, lekko chwyta mnie za rękę.

– Byłem dobrym ojcem – powiada.

Stwierdzenie niepodważalnego faktu, które jednak zostawia do mojej akceptacji. Wpatruję się w niego, w te słowa.

– Jesteś dobrym ojcem – mówię.

– Dzięki.

Jego powieki lekko drgają, jak gdyby usłyszał to, na co czekał. Na tym polegają ostatnie słowa: to klucze, które otwierają zaświaty. Nie tyle ostatnie słowa, ile hasło: *gdy je usłyszysz, możesz ruszać.*

– A jak dzisiaj, tato?

– Co dzisiaj? – pyta sennie.

– Bóg, niebo i tak dalej. Jak dzisiaj ci się zdaje: tak czy nie? W porządku, rozumiem, że jutro może ci się wydawać inaczej. Ale teraz, dokładnie w tej chwili, co czujesz? Naprawdę mi na tym zależy, tato. Tato? – Wydaje się, że odpływa w głąbiny snu. – Tato? – powtarzam.

A on otwiera oczy, patrzy na mnie tymi swoimi bladoniebieskimi oczyma dziecka, zniecka pełnymi uwagi. I mówi, mówi do mnie, do syna, który siedzi przy łóżku i czeka na śmierć ojca, on mówi:

– Pinokio?

Jego pierwsza wielka miłość

Była to dla ojca wielka radość, ale i wielkie nieszczęście, że zakochał się w najpiękniejszej kobiecie w Auburn, a być może i w całej Alabamie – w pannie Sandrze Kay Templeton.

Dlaczego nieszczęście? Gdyż nie był jedynym mężczyzną w Auburn, a tym bardziej i w całej Alaba-

mie, który się w niej zakochał. Wziął numerki i poszedł na koniec kolejki.

Jej piękno było już opiewane przez jednego z utalentowanych admiratorów w piosence:

*Sandy, Sandy, Sandy,
Piękna z ciebie laska,
Skocz na fotel obok,
Pomkniemy gdzieś w dal...*

I tak dalej.

W związku z nią dochodziło do pojedynków, wyścigów samochodowych, pijackich rywalizacji, walk na pięści, co najmniej jeden pies otrzymał imię na jej cześć, ale bardzo możliwe, że było ich więcej.

Sandra wcale nie chciała być taka piękna. Nie zależało jej na tym, aby kochało ją tak wielu mężczyzn – jeden zupełnie by wystarczył. Nic jednak nie mogła poradzić na swoją urodę, na urodę tak powszechnie wielbioną; ledwie odprawiła jednego fatyganta, natychmiast pojawiał się drugi z kwiatami, piosenkami i gotowością do walki. Cóż miała robić? Zajęła się swoimi sprawami, a inni niech się zajmą swoimi, za jej plecami formowała się zaś kolejka, prawdziwy klub, rodzaj braterstwa gorących pragnień i złamanych serc.

Edward nie ułożył żadnej piosenki. Przez długi czas nic w ogóle nie robił. Oczywiście, wpatrywał się w Sandrę. Kiedy przechodziła, ani myślał odwracać wzrok; z patrzeniem związany był osobliwy urok – Sandra promieniowała swym własnym światłem; gdziekolwiek się pojawiała, bił od niej żar.

Edward zaś lubił co jakiś czas poczuć ów żar.

Jego legendarne nogi

Był tak szybki, że potrafił dotrzeć na miejsce, zanim wyruszył. Był to nie tyle bieg, ile lot; zdawało się, że jego nogi w ogóle nie dotykają ziemi i tylko śmigają w powietrzu. Nigdy sam nie proponował wyścigów, jemu jednak proponowano je nieustannie, a chociaż starał się to chętnym wyperswadować, niełatwo znieść młodzieńcze szyderstwa i docinki. Zawsze kończyło się na tym, że zdejmował buty – nigdy nie biegał w butach – i czekał, aż jego rywal będzie gotowy. A potem startowali, czy raczej natychmiast było już po biegu, bo do żadnego nie dochodziło. Młodzieniec, który chciał w wyścigu z ojcem popróbować swych sił, nie ruszył jeszcze z linii startu, a już widział na mecie rozmazaną postać tego, którego chciał prześcignąć.

W którym wykonuje swój ruch

Zeby się nazbyt nie rozwodzić, powiedzmy tyle, że dość szybko przestało mu wystarczać samo patrzenie. Musiał się do niej zbliżyć, porozmawiać, dotknąć.

Czas jakiś chodził za nią. Ulicą, korytarzem i tak dalej. Przypadkiem się o nią ocierał. W kafejce dotykał ramienia.

– O, przepraszam – mówił zawsze.

Utkwiła mu w głowie, co doprowadzało go do szaleństwa. Któregoś dnia podglądał, jak temperuje ołówek. Delikatne dłonie trzymają długi, żółty trzonek. Zebrał z podłogi strużyny i rozcierał między

kciukiem a palcem wskazującym. Innego dnia zobaczył, jak rozmawia z kimś, kto wydawał się znajomy. Uśmiechała się w sposób, jakiego nigdy dotąd nie widział. Przez kilka minut patrzył, jak rozmawiają i śmieją się, potem serce mu zamarło, gdy rozejrzała się i nadstawiła usta do pocałunku. Gotów był już odwrócić się i dać jej spokój, gdy rozpoznał tę twarz. Był to chłopak ze stodoły, ten, który ukradł oko starej damy. Nazywał się Don Price.

Ojciec poczuł, że skoro raz go pokonał, może mu się udać ponownie.

Okazja nadarzyła się nazajutrz. Całe ciało niemal eksplodowało od pragnienia. Krew napierała na skórę. Musiał jakoś rozładować to napięcie. Na korytarzu zobaczył Sandrę.

— Posłuchaj — powiedział, wybierając moment nie najodpowiedniejszy, gdyż właśnie chciała wejść do damskiej toalety. — Nie znasz mnie, pewnie nawet na mnie nie zwróciłaś uwagi. Ale tak się zastanawiałem... wiesz... gdyby cię to interesowało, może byśmy się gdzieś wybrali razem w piątek wieczorem. Jeśli chcesz.

Trudno się dziwić, że czuła się w tej chwili dokładnie jak on: ciało niemal eksplodowało od pragnienia, krew napierała na skórę, musiała rozładować napięcie.

■—■ Czemu nie — powiedziała, długo się nie zastanawiając. — Niech będzie piątek.

I bezzwłocznie zniknęła w toalecie.

Zgodziła się, chociaż rano Don Price poprosił, aby

za niego wyszła. Także i na to niemal się zgodziła, ale coś w środku podpowiedziało jej, żeby zastanowiła się jeszcze kilka dni, zupełnie jakby to nadzieje mojego ojca zaszeptaly, a ona ich posłuchała.

Walka

Edward Bloom nie był zabijaką. Nazbyt lubił przyjemności rozmowy i dyskusji, aby dla rozstrzygnięcia sporu odwoływać się do tak prymitywnych i nierzadko bolesnych rozwiązań. Ale kiedy go do tego zmuszono, potrafił się obronić, a zmuszono go tego wieczoru, kiedy zabrał Sandrę Kay Templeton na przejażdżkę drogą, która zmierzała na Piney Mountain.

Trzy tygodnie minęły od ich pierwszej randki i przez ten czas wiele słów padło między Edwardem i Sandrą. Poszli do kina, wypili kilka drinków, opowiedział jej nawet parę kawałów. Będąc po prostu sobą – ani więcej, ani mniej – ojciec zdobywał sobie serce mojej matki. Sprawa zaczęła się robić poważna. Kiedy Edward dotykał ręki Sandry, ona się czerwieniła. Nie żeby już się w nim zakochała, ale widziała, że mogłaby.

Może nad wieloma sprawami musiała się zastanowić.

Ten wieczór był ważnym składnikiem owego namysłu. Był to wieczór Przejazdki. Najpierw parę mil będą jechać bez żadnego szczególnego celu, potem znajdą się na końcu jakiejś bocznej drogi, dokoła ciemny las, a w spowijającej ich ciszy on się nachyli ku niej, ona niedostrzegalnie przysunie się i połączą się w

pocałunku. Do tego przeto zmiierzali, kiedy we wstecznym lusterku ojciec zobaczył parę świateł, małych zrazu, ale potem coraz większych, świateł szybko mknących wąską i krętą drogą na Piney Mountain. Edward nie wiedział, że to Don Price; wiedział tylko tyle, że niebezpiecznie szybko dogania ich jakiś samochód, zwolnił więc, tak bowiem było rozsądniej, gdyby miało się coś zdarzyć.

Obcy samochód był już tuż za nimi, jego reflektory odbijały się w lusterku. Edward spuścił szybę i wykonał gest, aby tamten go wyprzedził, on jednak w tej samej chwili rąbnął w zderzak. Sandra wstchnęła gwałtownie i Edward lekko dotknął jej uda łagodnym gestem.

— Spokojnie — powiedział. — Pewnie jakiś pijany dzieciak.

— Nie — odrzekła. — To Don.

Ojciec natychmiast zrozumiał. Bez żadnych dalszych słów sytuacja była jasna, podobnie jak byłoby sto lat wcześniej w nadgranicznym miasteczku na Zachodzie, gdy Don z rękami na kaburach czekałby na niego pośrodku piaszczystej ulicy. Musieli się sprawdzić.

Samochód Dona ponownie grzmotnął w zderzak i ojciec wcisnął gaz. Jeśli Donowi zależało na szybkości, Edward mógł pokazać, jaki jest szybki, w pędzie więc minął następnny zakręt, zostawiając za sobą Dona Price[^]. Ten jednak zaraz nadrobił dystans, ale tym razem pojawił się nie z tyłu, lecz z boku. Oba samochody zajmowały całą szerokość drogi,

pokonując pagórki i zakręty w taki sposób, że słabsze serce zamarłoby na miejscu. Don Price zjeżdżał na stronę ojca, ojciec nie dawał się zepchnąć, oba wozy szorowały o siebie karoseriami. Ojciec wiedział, że może tak jechać, jak długo będzie trzeba, ale nie był tego pewien, jeśli chodzi o Dona Price'a. Raz udało mu się dojrzeć twarz tamtego, gdy auta tak na przemian się wyprzedzały, zderzały, zgrzytały. Don był pijany, bez dwóch zdań.

Wcisnął więc gaz do dechy, wyskoczył przed przeciwnika, a potem gwałtownie skręcił kierownicę, stając w poprzek drogi. Don Price zahamował o kilka stóp od niego; obaj w jednej chwili wyskoczyli z wozów i stali teraz oko w oko na odległość ramienia.

– Ona jest moja – obwieścił Don Price.

Był tak duży jak Edward, ale w barkach jeszcze roślejszy. Jego ojciec miał firmę transportową i latem Don pracował przy załadunku i rozładunku przyczep, czego efekty było widać.

– Nie wiedziałem, że należy do kogokolwiek – odparł ojciec.

– No to już wiesz, wsioku – prychnął Don i spojrzął na dziewczynę, która została w samochodzie. – Sandro – powiedział.

Ona jednak nie ruszyła się, siedziała tylko w zamysleniu.

– Weźmiemy ślub – zwrócił się Don do ojca. – Poprosiłem ją o rękę, wsioku. A może nie powiedziała ci o tym?

– Najważniejsze, co tobie powiedziała.

Don Price nic nie odrzekł, ale jego oddech przyspieszył, a oczy zamieniły się w szparki, jak u szykującego się do ataku byka.

– Rozedrę cię na strzępy jak papierową lalkę – zagroził.

– Nie masz żadnego powodu.

– Lepiej dla ciebie, żebym nie miał. Więc niech Sandra wsiada do mnie. I to już.

– Nie zrobi tego, Don – rzekł ojciec.

Don Price zarechotał.

– A ktoś ty niby, żeby tak mówić?

– Jesteś pijany, Don. Zawiozę ją do miasta, a potem niech zrobi, co będzie chciała.

Ale na to Don Price zaśmiał się jeszcze głośniej. Chociaż pamiętał, co wiele tygodni wcześniej zobaczył w szklanym oku starej damy, to jednak się zaśmiał.

– Dzięki, że dajesz mi jakąś szansę, ale nie, nie skorzystam, wsioku!

Z tymi słowami Don rzucił się na ojca z furią dziecięciu mężczyzn, ale ojciec miał siły więcej niż dziecięciu. Przez jakiś czas okładali się pięściami, obie twarze spływały krwią, która ciekła z nosów i warg, ale w końcu Don Price padł i już nie powstał, ojciec zaś stał nad nim triumfująco. Potem wiotkie i obolałe ciało przeciwnika ułożył na tylnym siedzeniu swego auta, by powieźć jego i matkę z powrotem do miasteczka. Zajechał pod stancję matki, zatrzymał się w nocnym mroku, a Don Price pojękiwał z tyłu.

Przez długą chwilę nie odzywali się – ani ona, ani on. Cisza była tak wielka, że jedno mogło niemal

posłyszeć myśli drugiego. Wreszcie ojciec przemówił:

– Naprawdę poprosił cię o rękę, Sandy?

– Tak – odrzekła. – Poprosił.

– I co mu odpowiedziałaś?

– Ze muszę się nad tym zastanowić.

– No i? – nalegał ojciec.

– I już się zastanowiłam. – Mówiąc to, ujęła w swe dłonie zakrwawioną rękę ojca.

Połączyli się w pocałunku.

O poznaniu teściów

Wedle Edwarda, teść miał zupełnie bezwłose ciało. Prowadził farmę, na której mieszkał razem z żoną, od dziesięciu już wtedy lat uwięzioną w łóżku, nie mogącą mówić ani samodzielnie jeść, podczas gdy on jeździł na wielkim koniu, ogromnym ogierze, czarnym z małymi plamkami bieli nad kopytami.

Uwielbiał moją matkę. Od czasu, gdy była niemowlęciem, opowiadał o niej niestworzone historie, a teraz, stary już i nieco podupały na umyśle, zaczął chyba w nie naprawdę wierzyć.

Przypuszczał, że zawiesiła księżyc. Od czasu do czasu mocno w to wierzył, wierzył, że gdyby go nie zawiesiła, nie byłoby go na niebie. Sądził, że gwiazdy to marzenia, które się kiedyś spełnią. Spełnią się dla niej, jego córki. Tak jej kiedyś powiedział, gdy była mała, ponieważ chciał ją rozweselić, a teraz jako starzec wierzył w to, gdyż była w tym wesołość, a on był bardzo stary.

Nie zaproszono go na ślub. To proste, dlaczego tak się stało – nie zaproszono nikogo. Żadne wesele, po

prostu ceremonia ślubna w sądzie Auburn, z obcymi osobami jako świadkami i drżącym starym sędzią w roli kapłana. Sędzia mamrotał w południowym slangu, podczas gdy w kącikach ust gromadziła się odrobina białej śliny, że odtąd na zawsze, dopóki śmierć ich nie rozłączy, są mężem i żoną.

I tak to się odbyło.

Nielatwo było całą rzecz wytłumaczyć panu Templetonowi, ale ojciec chciał przynajmniej spróbować. Podjechał do wrót farmy, na których widniał napis: STOP NACIŚNIJ KLAKSON, a zbiegiem przypadków znalazł się tam... również ojciec jego świeżo poślubionej żony, który z grzbietu gigantycznego konia podejrzliwie wpatrywał się w długi samochód i w machającą do niego zeń nieśmiało córkę. Otworzył bramę, wyciągając kołek z sześciocalowej dziury zrobionej w belce, ojciec zaś wjechał odpowiednio wolno, aby nie spłoszyć konia.

Ojciec i matka zajechali w milczeniu pod dom, a pan Templeton truchtał za nimi na swym wierzchowcu. Ojciec spojrział na matkę i uśmiechnął się.

– Nie masz się czym przejmować – powiedział.

– A kto się przejmuje? – spytała ze śmiechem.

Aczkolwiek żadne z nich nie czuło się nazbyt pewnie.

– Tato – powiedziała, kiedy znaleźli się przy drzwiach. – Poznaj pana Edwarda Blooma. Edwar-dzie, Seth Templeton. Podajcie sobie dłonie.

Tak też postąpili.

Pan Templeton zerknął na córkę.

– Czemu to robię?
– Co?
– Podaję mu dłoń.
– Bo to mój mąż – oznajmiła. – Pobraliśmy się, tato.

Dalej ścisnął rękę Edwarda, głęboko zaglądając mu w oczy, a potem zaśmiał się, co brzmiało jak eksplozja racy.

– Pobrali się! – stwierdził i wszedł do środka, a za nim podążyli nowożeńcy. Przyniósł im z lodówki dwie butelki coli, a potem zasiedli w saloniku, gdzie pan Templeton nabił ciemnym tytoniem fajkę o ustniku z kości słoniowej i zapalił, w pokoju zaś natychmiast pojawiła się cieniutka warstewka dymu i zawisła nad ich głowami. – • To o co w tym wszystkim chodzi? – spytał, possawszy chwilę policzki i odkasznawszy.

Na takie pytanie trudno było znaleźć odpowiedź, nikt się więc nie odezwał. Państwo młodzi siedzieli uśmiechnięci, Edward spojrział na łysą głowę pana Templetona, a potem prosto w jego oczy.

– Kocham pańską córkę – powiedział. – Do końca życia chcę ją kochać i nią się opiekować.

Od dawna namyślał się nad tą wypowiedzią i w końcu zdecydował się na te proste, acz głębokie słowa. Był zdania, że powiedział wszystko, co należało powiedzieć, i miał nadzieję, że takie samo będzie zdanie pana Templetona.

– Bloom, powiadasz – rzekł pan Templeton i zmrużył oczy. – Znałem kiedyś jednego Blooma.

Jeździliśmy razem w 1918,1919, w kawalerii. Stacjonowaliśmy w Yellowstone. Dużo w tych czasach było bandytów, nie wiecie o tym może, ale dużo, głównie Meksykanów. Koniokradów i innych złodziei.

Goniliśmy ich na potęgę, ja znaczę i Bloom. Inni też, rzecz jasna. Rogerson, Mayberry, Stimson. Do samego Meksyku. Tak, tak, na potęgę. Goniliśmy. Do samego Meksyku, panie Bloom. Do samego.

Ojciec przytaknął, uśmiechnął się i upił colę. Pan Templeton nadstawił ucha, gdyż nie dosłyszał, co ojciec mówi.

– Ma pan tam ładnego konia – powtórzył ojciec.

-- Znasz się zatem na koniach? – rzekł Templeton i znowu się zaśmiał terkotliwie. – No to trafiłeś na kogoś, kto wie parę rzeczy o koniach, dobrze mówię?

– Chyba tak, tato – odparła moja mama.

– To dobrze – powiedział Templeton i pokiwał głową. – To bardzo dobrze.

I na tym upłynął dzień. Pan Templeton opowiadał

o swych czasach w kawalerii, zaśmiewał się, a potem rozmowa przeszła na religię i Jezusa, ulubiony temat pana Templetona, uważał on bowiem, że ukrzyżowanie było szczególnie tchórzliwym aktem, jeśli zważyć na to, że Poncjusz Piłat i Jezus mieli w Oxfordzie wspólny pokój. W świetle tego faktu wydawało się, że Piłat istotnie zrobił Panu Jezusowi świństwo. Przez całe popołudnie kwestia ślubu ani razu już nie została wspomniana – można było odnieść wrażenie, iż pan Templeton w istocie zapomniał, dlaczego są u

niego w gościnie – a potem zapadł zmierzch i czas już było wracać.

Cała trójka wstała, mężczyźni podali sobie dłonie, a kiedy mijali zamknięte drzwi sypialni, na chwilę zwolnili. Sandra spojrzała na ojca, ale ten pokręcił głową.

– Kiepski dzień – powiedział. – Lepiej jej nie męczyć.

Wyszli więc, a potem oboje pomachali staremu mężczyźnie w mroczniejącym powietrzu, on zaś pomachał im i z dziecięcą radością wskazał rozgwieżdżone niebo.

Jego trzy prace

Ponieważ Birmingham w stanie Alabama było wielkim, pełnym nadziei miastem, więc rodzice przenieśli się tam i ojciec zaczął szukać swego szczęścia. Zdążyła ich wyprzedzić fama o jego wielkiej sile, inteligencji i wytrwałości, ojciec jednak wiedział, że jako człowiek młody wiele się jeszcze musi nahażować, zanim zyska należne mu miejsce.

Pierwszą pracę znalazł jako pomocnik weterynarza. Jako pomocnik weterynarza był przede wszystkim odpowiedzialny za czystość psich bud i kocich klatek. Każdego ranka zastawał je pełne odchodów. Część spoczywała na papierach, którymi wieczorem wykladał budy i klatki, ale część przywarła do ścian, a nawet do samych zwierząt. Ojciec robił z tym porządek każdego ranka i każdego wieczoru. Szorował tak długo, aż klatki błyszczały taką czystością, że na ich podłogach można było spożywać posiłek. Wy-

starczyła jednak chwilka, a pojawiał się dawny brud, praca ta rodziła więc prawdziwie Syzyfową frustrację: pies potrafił patrzeć ci w oczy, ty z miłością spoglądałeś w jego ślepią, a on w tym czasie srał na podłogę.

Drugą pracę dostał jako sprzedawca w dziale bielizny w dużym magazynie Smith's na przedmieściach. Fakt, iż wylądował w dziale bielizny, zakrawał na okrutny żart i ojcu istotnie bardzo doskwierały pikantne uwagi, jakie czynili sprzedawcy z innych działów, przede wszystkim ze strojów sportowych. Wytrwał jednak i w końcu zaskarbił sobie sympatię regularnych klientek Smith's, a stał się też ulubieńcem koleżanek z pracy, które bardzo sobie ceniły jego bystre oko.

Była jednak pewna niewiasta, która nigdy nie zaakceptowała go jako sprzedawcy. Nazywała się Muriel Rainwater i od urodzenia mieszkała w Birmingham. Dwukrotnie wyszła za mąż, dwukrotnie owdowiała, nie miała dzieci, miała za to niezliczoną ilość pieniędzy, żeby żyć wystawnie, dopóki i jej nie przyjdzie odejść. Podówczas miała już niemal osiemdziesiąt lat; niczym drzewo każdego roku przybierała w pasie, aż wreszcie stała się monstrialna. A do tego była próżna. Ani myślała chudnąć, z pewnością jednak chciała wyglądać na szczuplejszą, dlatego też często odwiedzała dział bielizny damskiej w Smith's, przeglądając nowości w dziedzinie pasów i gorsetów

I tak każdego miesiąca pani Rainwater wkraczała do Smith's, siadała w jednym z wielkich, miękko wy-

moszczonych, przeznaczonych dla klientów foteli, a potem bez słowa tylko kiwała na sprzedawcę, który posłusznie znosił jej najnowsze pasy. Jednak nigdy sprzedawcą tym nie był Edward Bloom.

Był to oczywisty afront, ale po prawdzie także i Edward nie był szczególnie dobrego zdania o pani Rainwater. Nikt zresztą nie był – jej stopy śmierdziały kulkami antymolowymi, jej włosy przywodziły na myśl nadpaloną tkaninę, jej ręce się trzęsły, gdy pokazywała, czego chce. Ponieważ jednak stanowczo nie pozwalała, by obsługiwał ją Edward, stała się jego najbardziej wyglądaną klientką. Postanowił któregoś dnia zacząć się na panią Rainwater.

W tym celu najnowszą dostawę gorsetów chytrze tak ukrył w kącie magazynu, że tylko on mógł ją odnaleźć. Pani Rainwater zjawiała się już nazajutrz. Rozsiadła się w fotelu i kiwnęła na jedną z ekspedientek.

– Ej, ty! – powiedziała. – Pokaż no mi nowe gorsety.

Dziewczyna wpadła w popłoch, gdyż bardzo lękała się pani Rainwater.

– Ale żadne nowe nie nadeszły – wybąkała.

– Też mi gadanie! – obruszyła się pani Rainwater, ciężko oddychając przez usta rozwarłe niczym jama. – Dobrze wiem, że nadeszły! Ty! – Wskazała inną sprzedawczynię, wyciągając ramię przelewające się jak pęcherz z wodą. – Tamta to niezguła, ty mi przyniesiesz gorset.

Dziewczyna z płaczem uciekła na zaplecze, trzecia padła na kolana przed panią Rainwater, zanim ta

odezwała się słowem.

No i na koniec został tylko mój ojciec. Wysoki, dumnie wyprostowany stał w odległym rogu sali. Widziała go, ale udawała, że nie widzi. Udawała, że w ogóle go nie ma.

– Czy ktoś mi w końcu pomoże?! – krzyknęła. – Chcę nowy gorset! Niechże mnie ktoś tutaj obsłuży!

Ojciec przeszedł przez salę i stanął przed panią Rainwater.

– Czego chcesz?

– Obsłużyć panią, pani Rainwater.

Pokręciła głową i popatrzyła na jego stopy, jak gdyby zamierzała na nie plunąć.

– Nic po mężczyźnie w dziale bielizny! – powiedziała z oburzeniem.

– Jednak tutaj pracuję, a co więcej, tylko ja wiem, gdzie są nowe gorsety, zatem tylko ja mogę pani pomóc.

– Nie! – wrzasnęła, kręcąc głową z niedowierzaniem, a w jej wielkich krowich oczach widać było głęboki szok. – To... to nie do wiary! Ja... ja...

– Będę bardziej niż szczęśliwy, mogąc spełnić pani życzenia, pani Rainwater.

– Niech więc będzie! – krzyknęła, a w kącikach ust zebrała się odrobina śliny. – Przynoś!

I przyniósł. Pani Rainwater wstała i poczłapała do przymierzalni, gdzie na stoliku spoczywał już nowy gorset. Zatrzasnęła za sobą drzwi, zza których ojciec słyszał pomrukiwania, pochrząkiwania, jęki i trzaski, aż wreszcie po kilkunastu minutach wyszła na

zewnątrz.

Tyle że nie była to już pani Rainwater. Przeistoczyła się zupełnie. Gorset przemienił tę wielorybicę w prawdziwą piękność. Miała wydatny biust i pokaźne pośladki, wszystko jednak, łuki i wypukłości, w odpowiednich proporcjach, a do tego wyglądała na kobietę młodszą, miłszą i z całą pewnością szczęśliwszą. Prawdziwy cud techniki gorseciarskiej.

Wpatrywała się w ojca, jak gdyby był bogiem.

— Nareszcie! To jest to! — zawołała głosem dziwnie melodyjnym. — Gorset, na który czekałam przez całe życie! I pomyśleć, że taka... taka byłam niesprawiedliwa wobec ciebie! Czy kiedykolwiek mi wybaczysz? — Raptownie odwróciła się od ojca i zaczęła podziwiać w lustrze swe odbicie. — Och tak, och tak, tak właśnie chciałam wyglądać! Teraz może znajdzie sobie nowego męża. Nigdy nie przypuszczałam, że gorset może tak szybko przynieść taki skutek! Proszę spojrzeć, proszę tylko spojrzeć! — Raz jeszcze rzuciła ojcu płomiennie spojrzenie. — Daleko pan zajdzie, młody człowieku, jestem tego pewna.

Trzecia zaś i ostatnia z prac Edwarda Blooma miała związek z dzikim psem. Kiedy ojciec gwałtownie awansował ze sprzedawcy na kierownika, rodzice przenieśli się do małego białego domku położonego naprzeciw podstawówki. Byli dopiero drugą rodziną, która w nim zamieszkała. Zbudował go przed sześćdziesięciu laty Amos Calloway i wraz z żoną wychowywał tutaj dzieci, które potem rozjechały się po świecie. Pani Calloway umarła przed wieloma laty,

a kiedy zmarł także pan Calloway, wszyscy sąsiedzi oczekiwali, że któreś z dzieci wróci, aby zamieszkać w domu. Tymczasem nie; dzieci zapuściły korzenie w dalekich miasteczkach lub miastach, kiedy więc pochowały ojca, natychmiast wystawiły dom na sprzedaż, Edward zaś, który go kupił, uważał, że trafiła mu się niezła gratka.

Bloomów jednak nie czekało ciepłe powitanie; nie jako tych, którzy wprowadzają się do domu Amosa Callowaya. Był on związany z domem tak silnie, że po jego śmierci ktoś z sąsiedztwa zasugerował, że budynek należałoby zburzyć, a na tym miejscu zrobić park dla okolicznych dzieci. Skoro nie ma już Callowayów, może to samo winno stać się także z ich domem? Kiedy teraz chciała do niego wejść i zamieszkać w nim jakaś obca para, wyglądało to tak, jakby tych dwoje usiłowało się wepchnąć do trumny, gdzie dopiero co złożono ciało Amosa Callowaya. Mówiąc krótko, Bloomów nikt szczególnie nie lubił.

Rodzice robili, co mogli, aby zmienić tę sytuację. Matka opiekowała się zabłąkanymi kotami, dowiedziała się bowiem, że tak postępowała pani Calloway. Ojciec nadal przycinał azalie przed domem w kształt liter alfabetu, z tego bowiem słynął w okolicy Amos. Wszystko na nic. Podczas weekendów ojciec i matka pracowali w ogrodzie, podobnie jak sąsiedzi, można by jednak pomyśleć, że byli niewidzialni. I w jakiś sposób byli. Aby znieść nieobecność Amosa i jego rodziny, sąsiedzi postanowili ignorować obecność Bloomów.

Wszystko aż do dnia, kiedy okolicę nawiedziła horda dzikich psów. Skąd – nikt nie wiedział. Sześć, osiem, niektórzy mówili o dziesięciu – dobierały się nocami do śmietników i kopały głębokie doły w ogrodach. Ich dzikie wycia i złe skowyty rozrywały aksamitne płachty snu. Inne psy, które ośmieliły się stawić im opór, znajdowano nazajutrz martwe albo nie znajdowano ich już nigdy. Dzieciom zabroniono teraz wychodzić z domów po zmroku, a niektórzy z mężczyzn nawet na krok nie rozstawali się z bronią. Miasto wezwało wreszcie na pomoc ludzi ze Stanowego Biura Kontroli nad Zwierzętami i pewnej krwawej nocy wszystkie dzikie psy zakatrupiono lub schwytano.

Mówiąc dokładniej, wszystkie z wyjątkiem jednego, ten zaś był najbardziej dziki i najokrutniejszy z całej hordy. Czarny jak smoła, zlewał się z nocą. Powiadano, że skrada się tak niepostrzeżenie, że zdajesz sobie sprawę z jego obecności dopiero wtedy, gdy łysekają białe, lśniące kły. I nie był to po prostu dziki pies – był to pies szalony, o prawdziwie ludzkiej pasji nienawiści i zemsty. Jedna z rodzin drogo zapłaciła za rozciągnięcie płotu pod napięciem. Którejś nocy zobaczyli, jak pies się zakrada; wstrząs cisnął go z powrotem na ulicę, ale bez żadnej trwałej szkody. Odtąd jednak zawsze trzymał się z dala od tej posiadłości, tak że przynajmniej w nocy nikt nie ośmielił się ani do niej zbliżyć, ani z niej wyjść. Można powiedzieć, że sami sobie zapewnili nie ochronę, lecz więzienie.

Zawsze dotąd ojciec potrafił okiełznać psa i odprawić w góry, skąd pochodził: taki już był ze zwierzętami. Teraz tak jednak nie zrobił. Dlaczego? Po pierwsze, gdyż nie mógł. Rygory nowego życia osłabiły dawne siły. Nie żeby się wahał użyć przyrodzonych mu sił i mocy – po prostu nie czuł ich już w sobie.

I tak by się marudnie toczyła ta sprawa, gdyby Los pewnego wieczoru nie szturchnął ojca w plecy, każąc mu wyjść na spacer. Ulice Edgewood były puste: ktoś miałby śmiałość przemierzać je po zachodzie słońca, wiedząc – a wiedza to była powszechna – że gdzieś czatuje Upiorny Pies (jak go zaczęto nazywać). Ojciec jednak niewiele myślał o psie, nie należał bowiem do ludzi, którzy życie swe przystosowywaliby do takiego zagrożenia. Niewykluczone, że ojciec był posłańcem jakiejś wyższej mocy. Z pewnością wiemy tyle – któregoś wieczoru wyszedł na spacer i uratował życie dziecku.

Dziecko – trzyletnia Jennifer Morgan, która mieszkała dwa numery od starego domu Callowayów (jak go uparcie nazywano) – wyszło z domu kuchennymi drzwiami, podczas gdy rodzice próbowali odetkać ubikację koło głównej sypialni. Dziewczynka tyle słyszała o psie chodzącym po okolicy, że nie mogła się oprzeć pokusie; musiała wyjść i go pogłaskać. Kiedy mój ojciec ją ujrzał, z kromką chleba w ręku podchodziła właśnie do złowieszczej czarnej plamy, mówiąc: „Masz piesku, to dla ciebie. No, chodź, piesku!”

Upiorny Pies sunął ku niej leniwym truchtem, nie wierząc swemu szczęściu. Nigdy dotąd nie spróbował małej dziewczynki, ale słyszał, że są bardzo smaczne. W każdym razie lepsze od małych chłopców i niemal tak dobre jak kurczęta.

Kulinarną ekstazę zakłócił jednak Edward Bloom. Porwał dziewczynkę w ramiona i cisnął psu pajdę chleba, ten jednak ją zignorował i dalej podkraślał się ku niemu. W każdej innej sytuacji ojcowskie podejście do zwierząt sprawiłoby, że pies złagodniałby i się uspokoił, ale wielki, czarny Upiorny Pies był rozwścieczony. Edward bezceremonialnie wkroczył między niego i posiłek.

Pies rzucił się na nich z furją. Edward w jednym ręku trzymając dziewczynkę, drugą chwycił psa za skórę na karku i cisnął nim o chodnik. Pies stęknął, zaraz jednak zerwał się na cztery łapy i warknął przeraźliwie. Zaczął błyskawicznie miotać się na boki i przez moment wyglądał tak, jakby miał dwa łby, kłapiące i szczerzące się dwie pary szczęk z kłami i różowymi dziąsłami.

Tymczasem Morganowie zorientowali się, że nie ma córki, i wypadli z domu, kierując się ku miejscu, gdzie słyhać było straszliwe warczenie. Zdążyli w sam raz, aby zobaczyć, jak pies atakuje po raz wtóry, o milimetry zaledwie chybiając szyi ojca i tylko spryskując ją gorącą wilgocią. Był to fatalny błąd bestii: ponieważ wysoki skok odsłonił spód ciała, Edward Bloom mógł poprzez sierść i skórę sięgnąć do żywotnego wnętrza, by chwycić i jednym szarpnię-

ciem wydrzeć potężne, pulsujące serce. Tak mocno zaś przyciskał dziewczynkę do swego rozłożystego ramienia, że oszczędził jej tego okrutnego widoku. Kiedy pies zwałił się na ziemię, ojciec także i serce cisnął na jego zewłok, oddał dziewczynkę rodzicom i kontynuował swój wieczorny spacer.

Tak się skończyła trzecia praca Edwarda Blooma.

Idzie na wojnę

Nie był generałem ani kapitanem, ani żadnym w ogóle oficerem. Nie był lekarzem, nie był poetą, nie był cynikiem, nie był kochankiem, nie był radiooperatorem. Był, rzecz jasna, marynarzem. Z setką innych żeglował po wzburzonym morzu na nietykalnym okręcie noszącym nazwę „Neried”. Okręt był wielki jak jego miasto rodzinne, a nawet większy. Z całą pewnością więcej było ludzi na pokładzie „Neried”, niż mieszkało ich w granicach Ashland, aczkolwiek teraz wielki dystans dzielił Edwarda i jego miasto. Od chwili, gdy je opuścił, dokonał wielkich rzeczy, teraz zaś dokonywał największej z nich: bronił wolnego świata. W osobliwy sposób czuł na swoich barkach ciężar świata. Czuł, że chociaż jest tylko prostym marynarzem, bez orderu, medalu, bez żadnego w ogóle odznaczenia, to powodzenie całego tego wysiłku zależy od jego niezłomności i wytrwałości. Dlatego dobrze było stanowić część tej załogi i na nietykalnym statku płynąć przez morze o barwie ciemnego wina. Kiedy wszędzie dokoła widział wodę, horyzont gdziekolwiek sięgnął wzrokiem, czuł rozpościerający się wokół niego wielki świat i

możliwości, jakie dla niego zachowywał. Otoczony wodami czuł się bezpiecznie i spokojnie.

Tak właśnie się czuł, kiedy torpeda rozpruła kadłub. Okrętem zatrzęsło, jakby wpadł na mieliznę, ojca zaś wyrzuciło cztery stopy ponad pokład. Okręt zaczął się przechylać.

– Wszyscy na pokład! – zagrzmiało z głośników.
– Nadmuchać kamizelki ratunkowe!

Ojciec był w szoku, a przynajmniej szok dotknął jego części, powtarzającej teraz: „Nic takiego nie miało się zdarzyć!” Druga część chwyciła kamizelkę, jedną taśmą umocowała ją wokół szyi, a drugą – wokół pasa. Rozejrzał się zdziwiony – „Nic takiego nie miało się zdarzyć!” – ale daleki od paniki. Nikt zresztą nie wpadł w panikę. Wszyscy byli zaskakująco spokojni, jak na manewrach. Tak czy siak „Neried” przechylał się na lewą burtę.

W głośnikach znowu rozległ się głos kapitana:

– Wszyscy na pokład. Przygotować się do opuszczenia okrętu.

Ciągle jednak nie było żadnego alarmu, żadnego pośpiechu. Marynarze z pokładu flagowego spokojnie udali się do przejścia prowadzącego na pokład kabinowy. Żadnego przepychania się, żadnego harmidru. Edward uśmiechał się do przyjaciół, a oni odpowiadali mu uśmiechem, chociaż ich statek tonął.

Na pokładzie zorientował się w rozmiarach nowej sytuacji. Z okrętu ciskano tratwy, belki, kamizelki ratunkowe, ławki, wszystko, co mogło unosić się na wodzie. Potem sami skakali. Statek jednak najeżony

był różnymi występami; wielu źle oceniało odległość, odbijało się od jakiejś przeszkody i rozmijało z ratunkowym sprzętem. Wszędzie widać było ludzi wpadających do wody. Setki głów podskakiwało w niej niczym ludzkie boje. Śruba kręciła się nadal; kilka osób dostało się w jej łopaty. Edward przysiadł na krawędzi okrętu i wyciągnął ostatni list od żony. „Nie ma dnia, żebym nie myślała o Tobie. Modłę się nawet, niedawno zaczęłam. Dobrze się z tym czuję. Mam nadzieję, że przynajmniej odrobinę to pomoże”. Uśmiechnął się, starannie złożył list i na powrót umieścił go w kieszeni. Zdjął buty i skarpetki, każdą zwinął i upchnął w noskach butów. Zobaczył, jak obok jeden z kolegów skacze, ląduje w wodzie na głowie innego i natychmiast obaj znikają pod powierzchnią. „Nie chcę zwalić się na nikogo”, pomyślał i wyszukał puste miejsce. Okazało się jednak, że pokryte jest plamą oleju, w którym również nie chciał się znaleźć. Zdołał w końcu wypatrzeć oczko wolne jeszcze od oleju i pozostawało tylko mieć nadzieję – wmawiał ją sobie – że w nie trafi.

Odziwo, udało się. Wylądował dwadzieścia stóp od burty, dokładnie w wybranym oczku i błyskawicznie pogrążył się, nie wypływając. Niczym mucha w bursztynie, tak on zawisł jakieś trzydzieści, może czterdzieści stóp pod powierzchnią. Nieopodal widział tonący okręt, nad sobą mnóstwo nóg towarzyszy marynarskiej doli, co przywodziło na myśl pływającą stonogę. Miał wrażenie, że powinien już utonąć, tymczasem nie tonął. Oddychał: nie ustami, lecz całym

ciałem. Nie pojmował tego, ale oddychał, więc pomyślał, że umarł.

Ale wtedy, daleko od okrętu, zobaczył kiwającą na niego dziewczynę. W tejże chwili rozpoznał, że to dziewczyna sprzed lat. Kiwała, uśmiechała się, jak gdyby czekała tu na niego od jakiegoś czasu. Popłynął ku niej. Ta sama, bez dwóch zdań. Trochę starsza, podobnie jak on, ale ta sama. Kiedy zbliżył się, ona odpłynęła kawałek i znowu pomachała. Nie wiedział, ile czasu jest już pod wodą, płynąc za dziewczyną, z pewnością jednak był dłużej, niż powinien. Płynął tak i płynął, aż wreszcie przez tłustą warstwę przedarło się światło słoneczne; popatrzył w górę, ale nie było tam już oleju, tylko czysty błękit. Rozejrzał się za dziewczyną – „młodą damą”, poprawił się w myśli – ale i ona zniknęła. Wzbił się więc ku rozświetlonej powierzchni, nagle lekki i szybki niczym pęcherzyk powietrza, a kiedy wyskoczył na jasny świat, zobaczył, że jest hen, daleko od innych, którzy z trudem przedzierali się przez gęsty olej. Dojrzeli jednak Edwarda machającego do nich – jak przedtem machała do niego dziewczyna – a to wskazało im pewien cel i natchnęło otuchą, popłynęli więc w jego kierunku najszybciej jak potrafili. Setki kolegów mozolnie sunęło ku niemu, ale nie wszyscy. Niektórzy nie poruszyli się, chociaż widzieli, że on trwa w miejscu i czeka. To ich pociągnął na dno „Neried”, kiedy ostatecznie pogrążył się w morzu. Także i Edward, chociaż był dalej od innych, czuł, jak okręt ciągnie jego ciało z powrotem. Na próżno

jednak. Nie zamierzał wracać. Jego droga prowadziła do domu.

Śmierć ojca: ujęcie trzecie

Łak to się dzieje. Stary doktor Bennett, nasz lekarz rodzinny, wychodzi z pokoju gościnnego i cicho zamyka za sobą drzwi. Bardziej niż wiekowy, był częścią naszego życia od zawsze, był także przy moich urodzinach, gdy miejscowa izba lekarska zwróciła się z prośbą, aby możliwie szybko odszedł na emeryturę – taki był stary. Doktor Bennett jest dziś za stary na cokolwiek. Nie tyle chodzi, ile człapie; nie tyle oddycha, co łapie powietrze. I wydaje się, że nie potrafi sobie poradzić z konsekwencjami krytycznej sytuacji pacjentów. Kiedy wychodzi z pokoju gościnnego, w którym ojciec pozostaje przez ostatnie kilka tygodni, zalewa się łzami i przez jakiś czas nie może wykrztusić słowa, tak bardzo łka; ramiona zgarbione, twarz skryta w dłoniach.

W końcu udaje mu się złapać oddech i podnieść wzrok. Wygląda jak zagubione dziecko, gdy mówi do matki i do mnie, my zaś jesteśmy już przygotowani na najgorsze:

– Nie wiem... Nie wiem naprawdę, co się dzieje. Nic już nie wiem. Wygląda bardzo niedobrze. Lepiej sami wejdźcie i zobaczcie.

Matka patrzy na mnie, a w jej wzroku widzę ostateczną rezygnację; mówi on, że jest gotowa, cokolwiek czeka za drzwiami, jakkolwiek tragiczne i straszliwe. Jest gotowa. Chwyta moją dłoń i mocno ją ściska, a potem wstaje i idzie. Doktor Bennett osuwa się na

ojcowski fotel i zastyga w nim, jak gdyby nigdzie już nie chciał się ruszyć. Na chwilę nawiedza mnie myśl, że umarł. Na chwilę nawiedza mnie myśl, że Śmierć przyszła, poniechała ojca, a w zamian postanowiła wziąć jego. Ale nie. Śmierć przyszła po mego ojca. Doktor Bennett otwiera oczy, patrzy w dziką, pustą przestrzeń i wiem, co myśli: „Edwardzie Bloom! Kto by przypuścił! Światowy człowiek! Import-eks- port! Wszystkim nam się wydawało, że będziesz żył zawsze. Reszta z nas leciała wprawdzie jak liście z drzew, ale jeśli ktoś z nas miał w ogóle oprzeć się surowej wichurze i wisieć przez całe życie, tym kimś miałeś być ty”. Jakby był bogiem. Tak zaczęliśmy myśleć o ojcu. Chociaż rano widywaliśmy go w bokserkach, a wieczorem śpiącego przed telewizorem, gdy skończył się już program, usta otwarte, niebieska poświata na śniącej twarzy niczym welon, mimo wszystko wierzyliśmy w jego boskość – bóg, bóg żartu, bóg, który nie może się powstrzymać, by nie rzec: „Kiedyś jeden facet...” A przynajmniej bóg cząstkowy, syn śmiertelniczki i jakiejś świetlistej istoty, który zstąpił, aby ten świat uczynić miejscem, gdzie ludzie się śmieją, a rozweseleni tym śmiechem kupują rzeczy od mojego ojca, chcąc ulepszyć życie swoje i jego, a zatem ulepszyć życie wszystkich. Jest zabawny i zarabia pieniądze – czego można żądać więcej? Śmieje się nawet ze śmierci, śmieje się z moich łez. Słyszę, jak się śmieje, nawet teraz, gdy matka wychodzi z pokoju, kręcąc głową.

– Niepoprawny – mówi. – Kompletnie i abso-

lutnie niepoprawny.

Płacze przy okazji, ale nie są to łzy żalu i smutku, to łzy wylane wcześniej. To łzy frustracji spowodowanej tym, że ona żyje, tylko ona, podczas gdy ojciec w pokoju gościnnym umiera, a w dodatku umiera niewłaściwie. Patrząc na nią, a w oczach mam pytanie: „Teraz ja?” Wzrusza ramieniem, jakby odpowiadała: „To zależy od ciebie, jak chcesz...”, a wydaje się, że i ona sama jest na krawędzi śmiechu, zupełnie jakby nie płakała, i jej twarz obleka się w trudny do pojęcia wyraz.

Doktor Bennett zasnął chyba w ojcowskim fotelu.

Wstaję, podchodzę do wpół uchylonych drzwi i zaglądam do środka. Ojciec siedzi, podparty stosem poduszek, nieruchomy i zapatrzony przed siebie, jak gdyby odrętwiały czekał na impuls — kogoś lub coś — który go zaktywizuje. Impulsem tym staje się moja obecność. Widząc mnie, uśmiecha się.

— Wejść, Williamie — powiada.

— Wygląda, jakbyś czuł się lepiej — mówię i siadam na krześle koło łóżka, na krześle, na którym od kilku tygodni przesiaduję codziennie. W ojcowskiej podróży do krańca życia krzesło to jest dla mnie punktem obserwacyjnym.

— Tak, czuję się lepiej — potwierdza, kiwa głową i jakby na dowód głęboko oddycha. — Chyba tak.

Tylko dzisiaj, tylko w tym momencie dnia. Dla mego ojca nie ma już odwrotu. Prawdziwa poprawa oznaczałaby teraz cud; musiałaby przybrać postać unieważnienia wyroku wystawionego przez samego

Zeusa, trzykrotnie podpisanego i przesłanego każdemu bogowi, który mógłby mieć jakieś zakusy do wymizerowanego ciała ojca i jego wyniszczonej duszy.

Już jest odrobinę martwy, myślę sobie, jeśli to w ogóle możliwe; dokonała się metamorfoza, w którą nie uwierzyłbym, gdybym nie widział jej na własne oczy. Najpierw na skórze rąk i nóg pojawiły się małe zmiany. Poddano je kuracji, ale bez widocznego efektu. Ostatecznie jakby same zniknęły, ale nie w sposób, w jaki można by oczekiwać czy pragnąć. Miejsce gładkiej, białej skóry z czarnymi włosami wyrastającymi z niej niczym welur, zastąpiła skóra twarda i połyskująca, niczym druga, łuskowata skóra. Trudno na niego patrzeć zaraz po tym, gdy przed wejściem do pokoju zerknie się na stojące na kominku zdjęcie, zrobione sześć czy siedem lat temu na plaży w Kalifornii. Widać na niej dorodnego mężczyznę, którym już nie jest. Stał się kimś zupełnie innym.

– Nie żeby zaraz dobrze. Nie, tego bym nie powiedział. Ale lepiej.

– Ciekawe, co tak stropiło doktora Bennetta – mówię. – Wyszedł naprawdę zmartwiony.

Ojciec wzrusza ramieniem i oznajmia konfiden-
qonalnym szeptem:

– Mówiąc szczerze, to chyba moje żarty.

– Twoje żarty?

– Moje kawały o lekarzach. Powiedziałem mu chyba o jeden za dużo.

I ojciec zaczyna recytować litanie starych, wymę-
czonych dowcipów:

„Panie doktorze, panie doktorze, zostało mi już tylko pięćdziesiąt dziewięć sekund życia". „Zaraz biegnę, będę za minutę".

„Panie doktorze, panie doktorze, czuję się jak zasłona". „Proszę się zasłonić".

„Panie doktorze, panie doktorze, moja siostra myśli, że jest windą". „Niech wejdzie". „Nie może, na tym piętrze nie staje".

„Panie doktorze, panie doktorze, chyba mam odrę". „Niemożliwe, to za duża rzeka".

„Panie doktorze, panie doktorze, chyba się kurczę". „Do weterynarza".

– Znam ich z milion – mówi z dumą.

– Nie wątpię.

– Za każdym razem, kiedy przychodzi, opowiadam mu kilka... Ale chyba nabierało się tego za dużo. Poza tym, nie wydaje mi się, żeby miał przesadne poczucie humoru. Jak to lekarze.

– A może chciał z tobą porozmawiać wprost.

– Wprost?

– Tak, wprost, szczerze. Żebyś zachował się jak normalny pacjent i powiedział mu, co ci dolega, co boli.

– Aha, coś w stylu: „Panie doktorze, umieram, proszę mi pomóc", tak?

– Coś takiego, ale...

– Ale dobrze wiemy, że nie można pomóc na to, co tutaj mamy – powiada, uśmiech znika, ciało zapada się poduszki, wraca uprzednia kruchość. – To mi przypomina wielką epidemię w trzydziestym

trzecim. Nikt nie wiedział, co to jest i skąd się wzięło. Z dnia na dzień: wczoraj wszystko pięknie, a dzisiaj najsilniejszy facet w Ashland pada martwy. Podczas śniadania. Ciało stężało tak szybko, że zastygło już przy kuchennym stole z łyżką niesioną do ust. W ciągu godziny zmarło kilkanaście osób. Ja jakoś byłem uodporniony. Patrzyłem, jak dookoła ludzie walą się na ziemię, jakby ich ciała nagle opustoszały...

– Tato – mówię i muszę to powtórzyć kilka razy, zanim umilknie, a wtedy biorę w dłonie jego wychudłą i lśniącą rękę. – Dość tych historyjek, dobrze? Dość głupich kawałów.

– A są głupie?

– Staram się powiedzieć to możliwie najłagodniej.

– Dzięki.

– Porozmawiajmy chociaż przez chwilę, zgoda?

Jak mężczyzna z mężczyzną, ojciec z synem. Bez historyjek.

– Bez historyjek? A ty myślisz, że ja to wszystko sobie zmyślam? Nie uwierzyłbyś, co mi opowiadał mój dziadek. Jeśli sądzisz, że ja ci opowiadam historyjki, szkoda, że jego nie słyszałeś. Potrafił zbudzić mnie w nocy, żeby tylko coś mi opowiedzieć. To było okropne.

– Także i to jest historyjka. Nie wierzę ani odrobinę.

– Nie musisz wierzyć jej, ale w nią – mówi słabym głosem. – To jak... metafora.

– Zaraz, zapomniałem, co to takiego metafora?

– Takie coś głównie o krowach i owcach.

– Widzisz? Nawet kiedy chcesz być poważny, nie

możesz się powstrzymać od żartu. To deprymuje, tato. Ciągłe trzymasz mnie na dystans, jakbyś bał się mnie albo czegoś.

– Bać się ciebie? – Przewraca oczyma. – Umieram i miałbym bać się ciebie?

– Jakbyś bał się zbliżyć do mnie.

Przyjmuje to, on, mój stary, i odwraca wzrok, wpatrując się gdzieś w przeszłość.

– To musi się jakoś wiązać z moim ojcem. Był pijakiem. Nigdy ci o tym nie mówiłem, prawda? Straszny pijakiem, z tych najgorszych. Czasami był tak zalany, że nie mógł już sam wystarać się o butelkę, więc przez jakiś czas mnie wysyłał, ale potem się zbuntowałem. Wtedy nauczył noszenia tego swego psa, Junipera. Brał w pysk wiadro, szedł do knajpy i przynosił je z powrotem pełne piwa. Mój ojciec płacił, wciskając dolara psu pod obroź. Ale któregoś dnia wcisnął piątkę, bo nie miał żadnej jednodolarówki. Pies pobiegł, ale nie wraca. Chociaż ojciec był pijany, to jednak potoczył się do baru, a tam pies siedzi na stoliku i popija podwójne martini. Ojca to rozgniewało i dotknęło. „Nigdy dotąd nie zrobiłeś mi czegoś takiego”, mówi do Junipera. „Nigdy dotąd nie miałem tyle forsy”, on na to.

I ojciec patrzy na mnie bez śladu skruchy w oczach.

– Nie możesz się powstrzymać, tak? – mówię podniesionym głosem i mocno zaciskam zęby.

– Jasne, że mogę.

– W porządku, pokaż to. Opowiedz mi coś serio.

Opowiedz mi o miejscu, z którego wyjechałeś.

– Ashland – mruczy i przesuwa językiem po wargach.

– Ashland. Jak wyglądało?

– Małe. – Myśl gdzieś odpływa. – Takie małe.

– Jak małe?

– Tak małe, że jak włączyłeś maszynkę do golenia, przygasały latarnie na ulicach.

– Marny początek.

– Ludzie byli tak biedni, że jedli fasolę, aby mieć bąbelki w wannie.

– Kocham cię, tato – mówię i przysuwam się blisko. – Naprawdę moglibyśmy się postarać o coś lepszego, ale ty tak to utrudniasz. Pomóż mi, proszę. Jakim byłeś chłopcem?

– Grubasem. Nikt nigdy nie chciał się ze mną bawić. Taki byłem gruby. Tyle mnie było, że nawet z domu musiałem wychodzić na dwa razy, za jednym się nie zabrałem. – Nie śmieje się, gdyż nie usiłuje być zabawny, jest po prostu sobą, tym, kim nie może nie być. Za jego maską kryje się inna i jeszcze inna, a dopiero za nią to bolesne, ciemne miejsce, jego życie, którego nikt z nas nie pojmuje.

Cóż mogę powiedzieć? Nic więcej niż:

– Jeszcze jedna próba. Daję ci jeszcze jedną szansę, a potem wychodzę. Zabieram się i nie wiem, czy jeszcze kiedyś wrócę. Nie chcesz, żeby między nami było zwyczajnie, to i ja nie chcę.

A oto, co odpowiada mój ojciec, mój najprawdziwszy ojciec, który oto umiera na moich oczach,

aczkolwiek dzisiaj jak na swój stan wygląda całkiem dobrze.

– Coś mi dzisiaj nie wyglądasz na mojego syna – mówi w swoim najlepszym stylu Groucho, na wszelki wypadek puszczając oko, gdybym mimo wszystko brał to poważnie – a to prawdziwa poprawa.

Tyle że ja biorę go poważnie i w tym cały problem. Wstaję więc, a wtedy on chwyta mnie za przegub z siłą, której już bym u niego nie podejrzewał. Spoglądam na niego.

– Wiem, kiedy umrę – powiada, zaglądając mi głęboko w oczy. – Widziałem to. Wiem, kiedy i jak to się stanie, i to nie dzisiaj, więc uspokój się.

Mówi zupełnie serio, a ja mu wierzę. Naprawdę mu wierzę. Wie. Mam w głowie tysiące myśli, ale żadnej nie potrafię wypowiedzieć. Nasze oczy szeptały się, jestem pełen oszołomienia, a on o tym wie.

– Jak... W jaki...

– Zawsze wiedziałem. Od początku miałem ten dar, wiesz, wizje. Jeszcze jako mały chłopak. Miałem wtedy ciąg snów, z których budziłem się z krzykiem. Pierwszej nocy ojciec przyszedł i spytał, co się stało. Śniło mi się, powiedziałem, że umarła ciocia Stacy. Zapewnił mnie, że Stacy ma się świetnie, więc znowu ułożyłem się do snu Tymczasem ona nazajutrz umarła. Minął tydzień i znowu zdarzyło się coś podobnego. Znowu sen, budzę się z krzykiem. Ojciec przychodzi do pokoju i pyta, co się stało, a ja mu na to, że śniła mi się śmierć Grampsa. I znowu mnie zapewnił – tym razem może z leciutkim drżeniem w głosie – że z

Grampsem wszystko jest w porządku, ale oczywiście następnego dnia nie żył. Przez kilka tygodni był spokój, ale potem znów sen, krzyk, ojciec przychodzi, pyta, o co chodzi. Śniło mi się, mówię, że umarł mój ojciec. Uspokoił mnie, rzecz jasna, iż czuje się doskonale, ale widziałem, jak to na niego podziałało, całą noc chodził z kąta w kąt, z rana wyglądał jak struty, niespokojnie rozglądał się, jakby za chwilę cegła miała mu spaść na głowę, wcześniej wyszedł do pracy, wrócił późno. Przedstawiał sobą żalosny widok, jakby przez cały czas wyglądał topora, który spadnie mu na głowę.

— Mój Boże! — westchnął do matki. — To chyba najgorszy dzień w moim życiu!

— Tak? — spytała z przekąsem matka. — A co by powiedział nasz mleczarz, który jak rażony padł na ganku?

Wyskoczyłem, trzaskając za sobą drzwiami, życząc mu ataku serca, śmierci rychłej i gwałtownej, żeby już nareszcie mieć to wszystko z głowy. Mówiąc szczerze, zacząłem nawet odczuwać żalobę.

— Ej! — doleciało mnie jeszcze zza drzwi. — A gdzie twoje poczucie humoru? A jak już nie poczucie humoru, to chociaż współczucie? Daj mi szansę, synu! Ja tu umieram!

Dzień, gdy się urodziłem

W dniu, gdy się urodziłem, Edward Bloom słuchał transmisji z meczu futbolowego na włożonym do kieszeni koszuli tranzystorze. Kosił też przy okazji trawnik i palił papierosa. Lato było mokre i trawa

wysoka, dziś jednak słońce lało z nieba taki żar na ojca i podwórko, że przypominały się dawne czasy, gdy słońce było gorętsze, tak jak cały świat był gorętszy czy większy, czy lepszy, czy prostszy w zestawieniu z tym, jak rzeczy się obecnie mają. Barki poczerwieniały mu niczym jabłko, nie zwracał jednak na to uwagi, albowiem słuchał transmisji najważniejszego meczu w roku, gdy jego drużyna szkolna z Auburn stawała przeciw swemu fatum – reprezentacji Alabamy, która niezmiennie wygrywała.

Przelotnie pomyślał o matce, która zastanawiała się w środku domu nad rachunkiem za elektryczność. W domu było zimno jak w lodziarce, matkę jednak i tak pokrywał pot.

Siedziała przy kuchennym stole nad rachunkiem za elektryczność, gdy poczuła, jak się w niej przesu-
wam i zajmuję wyjściową pozycję.

„Niedługo”, pomyślała i pospiesznie odetchnęła, ale am nie wstała, ani nie odłożyła rachunku. Po prostu pomyślała jedno słowo: „Niedługo”.

Na zewnątrz, gdzie on kosił trawę, sprawa nie przedstawiała się dobrze dla Auburn. Nigdy zresztą nie było inaczej. Zawsze to samo – zaczynał się mecz, wierzyłeś, że w tym właśnie roku im się uda, że właśnie teraz, ale za każdym razem zawód.

Kończyła się pierwsza połowa, Auburn odsta-
wało o dziesięć punktów.

Tego dnia, gdy się urodziłem, ojciec skończył z trawą od frontu i poszedł na tył domu, czując nowy przyływ optymizmu. Na początku drugiej części

Auburn przy pierwszym posiadaniu piłki zaliczyło przyłożenie; przy jedynie trzech punktach straty wszystko było możliwe.

Ale i Alabama szybko miała przyłożenie, a potem, złapawszy wykop, zaliczyła punkty z pola.

Matka ułożyła rachunek płasko na blacie i przycisnęła ręką, jakby go chciała wyprasować. Nie wiedziała, że raptem za kilka dni ciężka praca ojca i jego upór piękną znajdują odpłatę i że już nigdy więcej nie będzie się musiała troszczyć o rachunki za elektryczność. W tej chwili wydawało się, że świat, cały układ planetarny wiruje wokół centrum, które stanowi ów rachunek na \$42,27. W domu musiała mieć chłód. Wszędzie obnosiła taki ciężar. Normalnie była szczupła, ale ze mną w środku stała się wielka jak kamienica. I lubiła chłód.

Słyszała, jak ojciec kosi z tyłu domu. Oczy jej się rozszerzyły: nadchodziłem. „Teraz”. Czas mego nadejścia.

Auburn odrabiało straty.

Czas minął. Spokojnie zebrała szpitalne rzeczy. Auburn przy piłce, kilka sekund do końca Pora na punkty z pola.

W dniu, gdy się urodziłem, ojciec wyłączył kosiarkę i wsłuchał się w głos sprawozdawcy. Niczym posąg zastygł na tylnym podwórzu, w połowie skoszonym, w połowie do skoszenia. Wiedział, że muszą przegrać.

W dniu, gdy się urodziłem, świat stał się miejscem małym i przyjaznym.

Matka krzyknęła. Krzyknął ojciec.

W dniu, gdy się urodziłem, wygrali.

Jak mnie widział

Zrazu niczym się nie wyróżniałem – mały i różowy, bezradny, bez żadnych talentów godnych wzmianki. Kiedy ojciec był chłopcem, dzieckiem, niemowlęciem – więcej przyniósł światu niż ja. Czasy były inne, więcej wymagało się od każdego, nawet od maluchów. Nawet one musiały się czymś wykazać.

Ja jednak w dzieciństwie nie zaznałem już tych trudnych czasów. Urodzony w prawdziwym szpitalu, gdzie na mnie i na matkę czekały wszystkie możliwe lekarstwa i najlepsza opieka lekarska, nic nie wiedziałem o tym, jak kiedyś przychodziło się na świat. Jedno w każdym razie się nie zmieniło: Edward mnie kochał. Naprawdę. Chciał mieć chłopaka i oto miał. Oczekiwał, rzecz jasna, czegoś więcej: jakiejś jasności, błysku, może aureoli. Jakiegoś mistycznego poczucia spełnienia. Nic takiego nie zdarzyło się jednak. Byłem po prostu niemowlęciem jak każde inne, no, oczywiście, z tym wyjątkiem, że należałem do niego, co czyniło mnie niezwykłym. Dużo płakałem i dużo spałem; niewiele więcej jest tu do powiedzenia. Mój repertuar był dość ograniczony, chociaż zdarzyły się momenty owej spokojnej jasności, gdy wpatrywałem się w ojca z jego objęć oczyma roziskrzonymi, jakby był bogiem – bo też był nim w jakiś sposób. Czy też przynajmniej był bogu podobny, stworzył bowiem to życie, składając magiczne nasienie. W takich chwilach widział, jaki jestem

sprytny, bystry, dostrzegał moje możliwości w świecie. Tyle przynajmniej było możliwe.

Potem jednak znowu zaczynałem płakać albo trzeba było zmienić pieluszkę, oddawał mnie więc matce, która załatwiała się z takimi problemami, karmiła mnie, podczas gdy Edward przyglądał się temu bezradnie z krzesła, nagle wyczerpany, niezwykle wyczerpany hałasem, bezsennymi nocami, smrodem. Zmęczony zmęczeniem żony. Dlatego czasami tęsknił do starego życia, do wolności, do czasów, gdy wszystko dawało się obmyślić i przewidzieć – czy jednak różnił się w tym od innych mężczyzn? Co innego kobiety, one są stworzone do opieki nad rodziną, cała ich uwaga na tym się skupia. Mężczyźni muszą opuszczać dom, aby poza nim pracować, zawsze tak było – i w czasach łowiectwa, i zbieractwa, i obecnie. Mężczyźni byli skazani na rozdarcie; musieli być dwiema osobami, jedną w domu, drugą poza nim, podczas gdy matka musiała być jedną.

9»

Przez pierwsze kilka tygodni bardzo poważnie podchodził do swej funkcji ojca. Wszyscy to zauważyli: Edward się zmienił. Był bardziej zamyślony, a były to myśli głębokie i filozoficzne. Podczas gdy matka troszczyła się o codzienne sprawy, on zajął się wizją. Zrobił listę zalet, które posiadał i które chciał przekazać mnie:

wytrwałość

ambicja

silna osobowość

optymizm
siła
inteligencja
wyobraźnia.

Spisał ją na odwrocie torby po sprawunkach. Zale-
ty, do których sam musiał się dokopać, a które bezin-
teresownie będzie mógł przelać na mnie. Znienacka
dostrzegł, jaka to wielka szansa, jak wielkim bło-
gosławieństwem losu był fakt, że na świecie zjawiłem
się z pustymi rękami. Zajrzawszy w moje oczy, do-
strzegł tam wielką pustkę, która chciała się wypełnić. I
na tym miało polegać jego wielkie dzieło jako ojca
— wypełnić mnie.

Czym zajmował się podczas weekendów. Podczas
tygodnia bywał w domu bardzo rzadko, wtedy bo-
wiem był w drodze: sprzedając, goniąc za pieniędzmi
— pracując. Uczył, dając przykład Czy istniało takie
zajęcie, które pozwalało mężczyźnie zarobić na godne
życie bez podróży, włóczęgi, spania w hotelach i
jedzenia naprędce byle czego w przydrożnych barach?
Być może. Żadne z takich zajęć nie pasowało do niego.
Sama myśl o tym, że mógłby powracać do domu
każdego dnia o tej samej porze, przyprawiała go o
lekkie mdłości. Niezależnie od tego, jak kochał żonę i
syna, na więcej miłości nie było go stać. Pozostawanie
ze sobą to samotność, była jednak samotność jeszcze
większa, której doświadczał, znajdując się w tłumie
osób, z których każda miała wobec niego jakieś
oczekiwania. Musiał mieć dystans wobec takich
sytuacji.

Powracając do domu, czuł się obco. Wszystko zastawał zmienione. Żona przemeblowała salonik, kupiła nową suknię, czytała dziwne książki, które demonstracyjnie eksponowała na stoliku koło łóżka. A ja rosłem tak szybko. Żona nie mogła tego dostrzegać tak wyraźnie jak on. Powracając po jakimś czasie, widział niewiarygodne tempo wzrostu i uświadamiał sobie, jak – relatywnie rzecz biorąc – jego to pomniejsza. W pewnym sensie było to słuszne: ja rosłem, on malał. Mocą tej logiki pewnego dnia ja stanę się olbrzymem, on zaś stanie się nikim, będzie niewidzialny dla świata.

Zanim jednak nastanie ten dzień, pozostawał ojcem i czynił wszystko to, czego od ojca się oczekiwało. Bawił się w chowanego, kupował rower. Robił kanapki na wycieczkę w góry otaczające miasto – wielkie miasto ogromnych obietnic – góry, skąd widział miejsca, w których po raz pierwszy robił to albo tamto: tam ubił pierwszy interes, tam pocałował swą piękną kobietę. Oto krajobraz triumfu i chwały jego krótkiego życia. To właśnie widział z górskiej grani – nie budynki, miejski pejzaż, zagajniki czy szpital, w którym dobudowy w ano skrzydło. Nie, niczym album rozpościerała się przed nim własna historia, historia dorosłego życia, a wtedy brał mnie, unosił tak, bym wszystko widział, i mówił: „Pewnego dnia, synu, wszystko to będzie twoje”.

Jak uratował mi życie

Wiem o dwóch przypadkach, gdy Edward Bloom uratował mi życie.

Po raz pierwszy, gdy miałem pięć lat i bawiłem się w rowie za domem. Ojciec niezmiennie mówił mi: „Nie wchodź do tego rowu, Williamie”. Powtarzał to wiele razy, jak gdyby wiedział, że zdarzy się coś takiego, co zmusi go do ratowania mi życia. Dla mnie jednak nie był to rów, lecz pradawne koryto jakiejś wyschniętej rzeki, wypełnione kamieniami wygładzonymi przez długo przetaczającą się po nich wodę. Teraz korytem tym ciekła strużka za mała nawet na to, by unieść gałązkę.

Najpierw zsuwałem się po czerwonej glinie zboża, a potem zaczynałem się bawić, chociaż niekiedy ledwie kilka minut wcześniej ojciec przypominał: „Nie wchodź do tego rowu, Williamie”. Obraz mnie, otoczonego przez zimne czerwone ściany, był wystarczająco silny, aby zlekceważyć zakaz. Przykucałem w swym tajemnym zakątku i przebierałem między kamieniami, chowając do kieszeni najładniejsze: białe i szklście czarne z białymi plamkami. Owego dnia tak mnie zafrapowało to zajęcie, że nie uświadomiłem sobie, iż sunie na mnie ściana wody tak wielka, jakby podstawowym jej celem było porwać mnie i ponieść ze sobą. Obrócony do niej plecami, oglądałem kamienie. I gdyby nie mój ojciec, który w jakiś sposób przewidywał zdarzenia, zanim nastąpiły, woda by mnie porwała. Znalazł się tam, gdzie powinien być, i chwyciwszy mnie za koszulę, wyciągnął z rowu na jego brzeg, skąd patrzyliśmy, jak rzeka, która nigdy tędy nie płynęła, przewala się dołem, spryskując pianą nasze stopy. Potem spojrzał

na mnie.

- Mówiłem ci, żebyś nie wchodził do rowu?
- Jakiego rowu?

Po raz drugi ojciec uratował mi życie na krótko przed naszymi przenosinami do nowego domu przy Mayfair Drive. Poprzedni właściciele zostawili za domem huśtawkę i podczas gdy brygada transportowa wносиła do środka nasze stare sofy i stół z jadalni, ja postanowiłem spróbować, jak też wysoko może polecieć ta huśtawka. Starałem się rozbujać ją bardzo, na ile tylko starczyło mi sił i umiejętności. Kłopot polegał na tym, że poprzedni właściciele wcale nie chcieli zostawiać huśtawki za domem; wprost przeciwnie, mieli ją zabrać ze sobą. Dlatego zwolnili mocowania, które wiązały rusztowanie z cementem. Kiedy więc tak wzlatywałem coraz wyżej i wyżej, poruszała się cała konstrukcja, aż wreszcie, gdy wzbilem się najwyżej, gwałtownie cała podskoczyła, wyrzucając mnie w powietrze, a trajektoria lotu była taka, iż zmierzałem nieuchronnie na biały płot, na który bez wątpienia musiałem się nabić. I nagle poczułem ojca, zupełnie jakby sunął obok mnie w powietrzu, spadając razem ze mną, a jego ramiona objęły mnie niczym płaszcz i obaj zalegliśmy na ziemi. Chwyił mnie z Nieba i usadował bezpiecznie na Ziemi.

Jego nieśmiertelność

Ojciec bardzo wcześnie dawał mi do zrozumienia, że będzie żył zawsze.

Któregoś dnia zleciał z dachu. Ogrodnik czyścił

rynne z liści, a ponieważ nie skończył, więc poszedł do domu, zostawiając drabinę przystawioną do ściany domu. Po powrocie z pracy ojciec zobaczył drabinę i wspiął się na nią, był bowiem ciekaw, jaki jest stamtąd widok. Jak opowiadał, interesowało go, czy z dachu domu widać wysoką budowlę, w której pracował.

Miałem wówczas dziewięć lat i wiedziałem, czym grozi wchodzenie tak wysoko. Prosiłem ojca, by tego nie robił. Powiedziałem, że to niebezpieczne. Spojrzał na mnie przeciągle, a potem mrugnął okiem, czego znaczenie sam miałem sobie wybrać.

I zaczął wchodzić po drabinie. Była to zapewne jego pierwsza taka wspinaczka od dziesięciu lat, ale to jedynie moje domniemanie. Niewykluczone, że chodził po drabinach przez cały czas, tylko ja o tym nie wiedziałem.

Kiedy wspiął się na dach, stanął przy kominie i zaczął spoglądać na południe, północ, wschód i zachód w poszukiwaniu swego budynku. Bardzo efektownie wyglądał tam wysoko w ciemnym garniturze i czarnych lakierkach. Można by pomyśleć, że nareszcie znalazł miejsce, gdzie najlepiej się prezentował – szczyt jednopiętrowego domu. Zaczął się nade mną przechadzać po dachu w jedną i drugą stronę, ręką osłaniając oczy niczym kapitan statku wyglądający lądu. Nie mógł go jednak dostrzec; z tej odległości nie było widać miejsca jego pracy.

I nagle poleciał, a ja przyglądałem się, jak spada. Patrzyłem, jak mój ojciec spada z dachu naszego domu. Rozegrało się to tak szybko, że nie wiem, czy

potknął się, czy pośliznął, czy co tam się stało – wiedząc o nim to, co wiem, nie mogę wykluczyć, że zeskoczył – tak czy owak z wysokości dwóch kondygnacji spadł na krzewy. Aż do ostatniej chwili oczekiwałem, że wyrosną mu skrzydła, ale skoro nie wyrosły, a on grzmotnął o podłoże, byłem przekonany, że upadek go zabił. Pewność miałem tak wielką, że nie rzuciłem się, aby zobaczyć, co można zrobić, żeby go ratować, przywrócić może do życia.

Wolnym krokiem podszedłem do ciała. Leżał bez ruchu i bez oddechu. Jego twarz miała wyraz błogiej nieobecności, jaki niektórzy łączą z wyzwoleniem od świata. Miły widok. Patrzyłem i usiłowałem go utrwalić w pamięci – mój ojciec, twarz mego ojca w chwili śmierci – kiedy nieoczekiwanie twarz się ożywiła, oko mrugnęło, a on zaśmiał się i powiedział:

– Chciałem, żebyś podszedł, i udało się, nie?

Największa z jego mocy

Kiedy Edward Bloom opuszczał Ashland, przyrzekł sobie, że obejrzy dokładnie świat, i dlatego zawsze wydawało się, że jest w drodze, nigdy nazbyt długo nie pozostając w jednym miejscu. Nie było kontynentu, na którym nie stanęła jego noga, nie było wielkiego miasta, w którym nie miałby przyjaciela. Był prawdziwym światowcem. Na chwilę heroicznie pojawiał się w moim życiu, ratując je i dając bodźca mej własnej mężności, zaraz jednak wzywały go siły mocarniejsze niż on sam; musiał, jak powiadał, ujeżdżać tygrysa.

Zawsze jednak dbał o to, bym rozstawał się z nim

w śmiechu. Tak chciał mnie pamiętać i tak chciał być pamiętany. To była największa i być może najbardziej niezwykła z jego mocy: w każdej chwili potrafił rozbawić mnie do rozpuku.

Był sobie człowiek – nazwijmy go Rogerem – który w interesach musiał na jakiś czas wyjechać z miasta i dlatego zostawił kota pod opieką sąsiadów. Roger, który kochał swojego kota nade wszystko, każdego dnia nieobecności dzwonił do sąsiada, żeby się dowiedzieć o zdrowie i samopoczucie swego ulubieńca. Dzwoni więc pewnego wieczoru i pyta:

– Jak tam moja słodziutka kocina? Proszę, opowiedz wszystko.

A sąsiad:

– Przykro mi, Roger, że muszę ci to powiedzieć, ale twój kot nie żyje. Wpadł pod samochód, który rozjechał go na miazgę. Przykro mi.

Roger był w szoku. I nie tylko z powodu informacji, że utracił kota – już samo to by wystarczyło!

– ale także ze względu na sposób, w jaki została mu przekazana. Powiedział zatem:

– O nie, nie tak mówi się komuś o czymś równie strasliwym. Trzeba wiadomość dawkować, przygotowywać na okropną nowinę. Na przykład, na mój dzisiejszy telefon powinienes był odpowiedzieć: „Wiesz, Roger, twój kot wszedł na dach”. Jutro powiedziałbyś coś takiego: „Kot za nic nie chce zejść z dachu i mówiąc szczerze, nie nadzwyczajnie już wygląda”. Następnym razem oznajmiłbyś, że kot spadł z dachu i teraz opiekuje się nim weterynarz. Dopiero

w czasie kolejnej rozmowy telefonicznej mógłbyś w końcu powiedzieć o śmierci.

– Jasne, Roger, przepraszam.

No, ale ponieważ sąsiad dalej opiekował się domem, podlewał kwiatki, wyjmował pocztę i tak dalej, więc Roger dzwoni po trzech dniach, żeby się dowiedzieć, co słyhać.

– Nic, wszystko w porządku – mówi sąsiad. – Jest tylko jedna mała rzecz.

– Jaka?

– Taka mała rzecz związana z twoim ojcem.

– Z ojcem? A co mu się stało?

– Nie, nie, nic, tylko, widzisz, wszedł na dach...

Ojciec na dachu. Lubię tak go sobie przypominać.

Elegancki w swym czarnym garniturze i błyszczących butach, jak daleko wzrok sięgnie spogląda w lewo, w prawo, potem zerka w dół, widzi mnie i dokładnie w chwili, gdy zaczyna spadać, uśmiecha się i puszcza do mnie oko. Lecąc w dół, nie spuszcza ze mnie wzroku: uśmiechnięta, tajemnicza, mityczna istota – mój ojciec.

W którym ma sen

Ojcu przyśniło się, jak umiera, a był to zarazem sen o mnie.

A sen był taki.

Kiedy rozeszła się wieść o chorobie ojca, na podwórzu zaczęli gromadzić się ludzie, z początku kilku, potem coraz więcej, dziesięciu, dwudziestu, tłoczą się na podwórzu, łamią krzewy, depczą trawę, chowają się pod samochodową wiatę, kiedy zaczyna mżyć. W

ojcowskim śnie stoją ramię przy ramieniu, posępni, zasmuceni i czekają na jakąś wieść o poprawie. Rozlega się radosna wrzawa, gdy przez chwilę widzą ojca przesuwającego się za oknem. Razem z matką patrzymy na nich z salonu, nie bardzo wiedząc, co począć. Niektórzy z nich wyglądają marnie, są starzy, obdarci, twarze mają zarośnięte. Matka spogląda na nich niespokojnie, nerwowo zapina i rozpina bluzkę, gdy widzi, jak zerkają w kierunku okien na piętrze. Są jednak także i tacy, którzy – jak się wydaje – oderwali się od jakichś ważnych zajęć, aby przyjść pełni niepokoju pod dom ojca. Pozdej-mowali krawaty i upchnęli je w kieszeniach marynarek, boki eleganckich butów mają zablocone, niektórzy trzymają przy uszach telefony komórkowe, informując na bieżąco tych, którzy nie mogli się zjawić. Nie tylko mężczyźni, są i kobiety, w różnym wieku, ludzie młodzi i starzy, a wszyscy wpatrują się w światło w pokoju ojca i czekają. Od dłuższego czasu nic się zresztą nie wydarzyło. Po prostu, oni stali pod domem, a w środku płynęło nasze normalne, małe życie. Fakt ten jednak coraz trudniej było ignorować, więc po kilku tygodniach matka kazała mi wyjść do nich.

Tak też zrobiłem. Przez ten czas trochę już się urządzili. Pod magnolią zorganizowali doraźny bufet, gdzie serwowano chleb, chili i gotowane brokuły. Pożyczyli od matki sztuczce, a potem zwracali z resztkami zaschniętymi na widelcach i trudnymi do usunięcia. Na trawiastym placyku, na którym

grywałem w futbol z sąsiadami, pojawiło się mini-miasteczko namiotowe, a krążyła nawet pogłoska, że powito tam dziecko. Pod jednym z drzew biznesmen wyposażony w telefon komórkowy zorganizował centrum informacyjne, gdzie zgłaszali się ci, którzy chcieli przekazać rodzinie jakąś wiadomość lub dowiedzieć się, czy są jakieś nowiny o ojcu.

W samym środku na składanym fotelu siedział starzec przypatrujący się wszystkiemu. Nie przypomniałem sobie, bym kiedykolwiek go widział (tak przynajmniej było w ojcowskim śnie), wydawał mi się jednak jakoś znajomy – chociaż obcy, to przecież nie całkiem nieznanym. Od czasu do czasu ktoś podchodził do niego i szeptał coś na ucho. Słuchał uważnie, chwilę zastanawiał się, a potem albo potakiwał, albo kręcił głową. Miał gęstą białą brodę, okulary, a na głowie czapkę rybacką z wpiętymi w nią własnoręcznie zrobionymi przynętami. Ponieważ wyglądał na osobę najważniejszą, zwróciłem się przede wszystkim do niego.

– Dzień dobry – powiedziałem. – Nazywam się...

– Wiem, kim jesteś – przerwał mi, głosem miękkim i niskim, ciepłym i dalekim jednocześnie. – Jego synem.

– Tak – potwierdziłem.

Spoglądaliśmy na siebie, a ja usiłowałem sobie przypomnieć, jak on się nazywa, gdyż z pewnością już kiedyś się spotkaliśmy. Ale wszystko na próżno.

– Czy ma nam może coś do przekazania?

Przyglądał mi się z łapczywą uwagą, niemal unieruchamiał mnie wzrokiem.

– Nie – odrzekłem. – To znaczy, z nim jest bez zmian.

– Bez zmian – powtórzył, jak gdyby chciał tym słowom przydać jakieś dodatkowe znaczenie. – A więc po dawnemu pływa?

– Tak – odparłem. – Codziennie. Bardzo to lubi.

– To dobrze – rzekł jakby do siebie, a potem podniósł głos: – Ciągle jeszcze pływa!

Przez tłum przetoczył się okrzyk radości, twarz starca promieniała. Wziął kilka głębokich oddechów przez nos, jak gdyby nad czymś się zastanawiał. Wreszcie znowu na mnie spojrzał.

– Ale chciałeś nam powiedzieć coś jeszcze, prawda?

– Tak. Chodzi o to, że wszyscy macie dobre zamiary i bardzo przyjemnie was tu widzieć, ale...

– Mamy odejść – rzekł spokojnie. – Chcecie, żebyśmy się rozeszli.

– Tak. Raczej tak.

Starzec przetrwał te słowa. Jego głowa lekko się poruszała, poruszona nimi, można by pomyśleć. Ojciec – jak opowiadał ■ – przyglądał się we śnie tej scenie z oddali, jakby już umarł.

– Trudno będzie odejść – powiedział starzec.

– Ci ludzie tutaj... Oni wszyscy bardzo się martwią. Będą czuć się zagubieni, kiedy porzucą to miejsce. Niedługo, rzecz jasna. Życie toczy się dalej, ale przez jakiś czas będzie trudno. Twoja matka...

– Bardzo ją to denerwuje – przerwałem mu.
– To zbiorowisko tutaj, dzień i noc. Chyba pan to rozumie.

– Oczywiście. Poza tym ten nieporządek. Całe podwórko właściwie zniszczone.

– No właśnie.

– Nie martwcie się – powiedział takim tonem, że absolutnie mu wierzyłem. – Zostawimy wszystko w takim stanie jak przedtem.

– Matka będzie bardzo zobowiązana. Podbiegła ku nam kobieta, złapała mnie za koszulę i potarła o nią zapłakaną twarzą, jakby chciała się upewnić o mojej cielesności.

– William Bloom? – spytała, patrząc na mnie błagalnie. Była niewysoka, miała cienkie przeguby. -- To William Bloom, prawda?

– Tak – potwierdziłem i cofnąłem się o krok czy dwa, ona jednak nie przestała mnie trzymać.

– Daj to swemu ojcu – rzekła i wcisnęła mi w dłoń mały jedwabny miszek. – W środku są lecznicze zioła. Zebrałam je sama. Może mu pomogą.

– Dzięki – powiedziałem. – Dopilnuję, żeby je zajął.

– Uratował mi życie. Był wielki pożar, a on mnie uratował, siebie narażając na śmierć. Więc... więc jestem tutaj.

– No, już niedługo – wtrącił starzec. – Właśnie kazał nam odejść.

– Edward? – spytała. – Edward Bloom kazał nam odejść?

— Nie. Jego żona i syn.

Pokiwała głową.

— Tak jak mówiłeś. Ze syn wyjdzie do nas i każe nam się wynieść. Dokładnie tak, jak mówiłeś.

— Matka mi kazała — odezwałem się, nieco zirytowany tajemniczymi aluzjami i lekkim wyrzutem w ich głosach. — To wcale nie jest przyjemna rola.

Nagle zrobiło się wielkie poruszenie. Wszyscy spoglądali w okno na piętrze, gdzie ojciec w swym śnie stał i machał do zebranych. Miał na sobie żółty szlafrok, uśmiechał się do wszystkich, niekiedy wskazując palcem kogoś w tłumie, unosząc brwi i mówiąc coś bezgłośnie — „Wszystko w porządku?“, „Fajnie cię zobaczyć“ — a potem przenosząc uwagę na inną osobę. Ludzie na podwórzu machali rękami, pokrzykiwali, wiwatowali, by po chwili, która wydawała się dziwnie krótka w zestawieniu z liczebnością tłumu, raz jeszcze pozdrowić wszystkich gestem, odwrócić się i zniknąć w półmroku pokoju.

— Oto coś, czego było nam potrzeba — powiedział rozpromieniony starzec. — Wygląda dobrze, naprawdę dobrze.

— Widać, że się o niego troszczycie — pochwaliła kobieta. — Byle tak dalej.

— Wszystko zawdzięczam twojemu ojcu! -— krzyknął ktoś spod magnolii i nagle rozbrzmiała kaskadą głosów, gdyż ludzie jeden przez drugiego zaczęli opowiadać historie Edwarda Blooma i jego dobrych uczynków. Poczułem się osaczony słowami. Krąg się zacieśniał, wszyscy mówili do mnie naraz, aż

wreszcie starzec podniósł dłoń i tamci nieco się odsunęli.

– Widzisz – rzekł do mnie – my wszyscy mamy swoje historie, tak jak ty. Jak nas wzruszył, pomógł nam, dał pracę, pożyczył pieniądze, sprzedał coś z opustem. Mnóstwo historii, wielkich i małych. One się sumują. Wszystko w życiu się sumuje. I dlatego tu jesteśmy, Williamie. Jesteśmy jego częścią, częścią tego, kim jest, tak jak on jest częścią nas. Ale nadal mnie nie rozumiesz, prawda?

Nie rozumiałem. Kiedy jednak tak się w niego wpatrywałem, on zaś wpatrywał się we mnie, w śnie mojego ojca przypominałem sobie, gdzie się wcześniej spotkaliśmy.

– A co ojciec panu uczynił? – spytałem, a starzec uśmiechnął się.

– Rozśmieszył mnie.

I wtedy wiedziałem. W jego śnie, mówił ojciec, wiedziałem. Z tą wiedzą przeszedłem przez podwórze i powróciłem do ciepła domowego.

– Dlaczego słoń nosi trąbę? – zamykając drzwi, usłyszałem dudniący głos starca

– Bo nie ma futerału – odpowiedziałem w chórze z nim.

Po czym nastąpił wybuch śmiechu.

Tak kończy się sen mego umierającego ojca o umieraniu.

Część III

W którym kupuje miasto i nie tylko

Xa następna historia niczym cień wynurza się z mgieł przeszłości.

Ciężka praca, szczęście i kilka celnych inwestycji czynią mego ojca bogatym człowiekiem. Przenosimy się do nowego domu przy ładniejszej ulicy, matka wychowuje mnie w domu, ja rosnę, a ojciec ciężko pracuje jak dawniej. Znika na całe tygodnie, wraca zmęczony i smutny, do powiedzenia ma niewiele, z wyjątkiem tego, że za nami tęsknił.

Pomimo więc jego sukcesu nikt nie czuje się nazbyt szczęśliwy. Ani matka, ani ja, z pewnością także nie ojciec. W rozmowach pojawia się wątek rozpadu rodziny, która tak bardzo nie jest podobna do innych i tak dziwnie funkcjonuje. Do tego jednak nie dochodzi. Sposobności pojawiają się niekiedy w dziwnych przebraniach; rodzice postanawiają, że spróbują wspólnie dalej walczyć z trudnościami.

To w tym czasie, w połowie lat siedemdziesiątych, ojciec zaczyna wydawać pieniądze na nieprzewidywalne sposoby. Znienacka przychodzi mu do głowy, że czegoś mu w życiu brakuje. Czy raczej poczucie to powoli dojrzewa z biegiem lat – ojciec właśnie skończył czterdziestkę – aż nagle któregoś dnia przypadkowo odkrywa, że gdzieś utknął. Dokładnie w mieście o nazwie Specter. Specter gdzieś w Alabamie, Missisipi czy Georgii. Utknął, gdyż nastąpiła awaria samochodu. Auto zostaje odholowane do warsztatu, a ponieważ trzeba trochę poczekać na naprawę, więc ojciec postanawia się przejść.

Jak można się było spodziewać, Specter okazuje się pięknym miasteczkiem, pełnym małych białych domków, ganków i huštawek zwieszających się z

drzew na tyle wielkich, że nieustannie zapewniają cień. Tu i tam widać rabatki i całe klomby, od Main Street zaś odchodzą miłe przejezdne uliczki, niezależnie od tego, czy piaszczyste, wyżwirowane czy asfaltowe. Ojciec zwraca szczególną uwagę na te uliczki podczas spaceru, gdyż to właśnie jest rzecz, którą najbardziej lubi robić: jadąc, zmieniać miejsca. Wsiadać do samochodu i objeżdżać drogi w całym kraju, na całym świecie, tak wolno, jak tylko prawo na to zezwala, aczkolwiek prawo – szczególnie gdy dotyczy limitów szybkości – nie cieszy się u Edwarda Blooma wielkim poważaniem: dwadzieścia mil w mieście to dla niego za szybko, autostrady zaś w ogóle uważa za szaleństwo. Co można zobaczyć przy takiej prędkości? Dokąd ludzie tak bardzo chcą gnać, że nie starcza im czasu, aby zobaczyć, co mają już tu pod bokiem, za szybą samochodu? Ojciec pamięta czasy, gdy nie było jeszcze żadnych samochodów. Gdy ludzie chodzili. Także i on to robi – to znaczy: chodzi – zarazem jednak bardzo lubi pomruk silnika, warkot kół, życie skadrowane w oknach, umykające bokami i do tyłu. Samochód to latający dywan mego ojca.

Nie tylko dostarcza go do różnych miejsc, ale także je ujawnia. Samochód... jedzie tak wolno, prowadzi go tak powoli, tak długo trwa przeniesienie się z jednego miejsca do drugiego, że niektóre z bardzo ważnych spraw załatwiane są w aucie. Ci, którzy się z nim umawiają, postępują tak oto: ustalają, gdzie znajduje się tego a tego dnia, dochodzą do wniosku, iż przemieszczając się tak niespiesznie, pozostanie w okolicy co najmniej przez tydzień, lecą na najbliższe lotnisko i tam wynajmują samochód, którym tak długo jeżdżą tędy i owędy, aż wreszcie trafią na ojca.

Zrównują się wtedy z nim, naciskają klakson, machają ręką, ojciec zaś powoli się odwraca
— tak jak odwracałby się Abraham Lincoln, gdyby Lincoln kiedykolwiek prowadził samochód, gdyż w moim umyśle, w mej pamięci, w obrazie, który zagnieździł się na trwałe, mój ojciec przypomina Abrahama Lincolna, mężczyznę z długimi rękami, głębokimi kieszeniami i ciemnymi oczyma — odpowiada tym samym gestem i zatrzymuje się, a ten, kto chce z nim rozmawiać, wskakuje na fotel obok kierowcy, natomiast asystenci tej osoby czy doradcy prawni wskakują na tylne fotele, a potem wolno przemieszczając się po krętych drogach, dobijają interesu czy uzgadniają jakąś kwestię. I kto wie, może ma w tych samochodach jakieś romanse, przygody z pięknymi kobietami, sławnymi aktorkami? Wieczorem staje między nimi stół przykryty białym lnianym obrusem i przy świecach jedzą i piją, wznosząc figlarne toasty za przeszłość...

Ojciec spaceruje po Specter. Trzeba trafu, że jest właśnie ładny jesienny dzień. Miło uśmiecha się do wszystkiego i wszystkich, a wszystko i wszyscy odpowiadają mu miłym uśmiechem. Idzie z rękami założonymi z tyłu, przyjacielsko zaglądając do sklepików i w alejki, a ponieważ już wtedy zaczyna być wrażliwy na światło słoneczne, mruży lekko oczy, co sprawia, iż ma wygląd bardziej przyjacielski i łagodny, ale tak też rzecz się ma: jest bardziej przyjacielski i łagodny, niż się wszystkim wydaje. I zakochuje się w tym miasteczku, w jego cudownej prostocie, bezpretensjonalnym czarze, w ludziach, którzy go pozdrawiają, sprzedają mu colę, którzy machają do niego i śmieją się, stojąc na swych chłodnych we-

randach.

Mój ojciec decyduje się kupić miasteczko. Specter, mówi sobie, ma tę swoistą cienistość, coś podobnego do spoczywania pod wodą, a jest to jakość, którą on potrafi docenić. W istocie to smutne miejsce i pozostaje takie od czasu, gdy zamknięto linię kolejową. Albo gdy wyczerpały się złoża w kopalni węgla. Specter wydaje się miejscem zapomnianym, pominiętym przez świat. A chociaż i ono niewiele ma już pożytku ze świata, to jednak miło byłoby stanowić jego część, być zaproszonym, a nie pominiętym.

Ta cecha sprawiła, że ojciec zakochał się w Specter, które też dlatego staje się jego miejscem.

W pierwszym ruchu wykupuje całą ziemię wokół miasta, tworząc w ten sposób coś w rodzaju buforu na wypadek, gdyby jakiegoś innego bogacza znienacka nawiedziło poczucie osamotnienia w miasteczku i zapragnął przeciągnąć przez nie autostradę. Nie ogląda nawet ziemi; wie tylko, że jest zielona, z sosnami i że taką chce ją zachować, chce przeto stworzyć tu zamknięty system ekologiczny. I osiąga to. Nikt nie wie, że to jedna osoba wykupuje wszystkie małe parcele wystawione na sprzedaż, podobnie jak nikt się nie orientuje, że to jedna osoba w przeciągu pięciu czy sześciu lat wykupuje jeden po drugim wszystkie domy i sklepy w miasteczku, osoba, o której każdy wie tylko tyle, iż znają znajomy znajomych. Jest tak przynajmniej przez pewien czas. Ludzie się przenoszą, interesy są zamykane, o kupno nie jest więc trudno, do tych jednak, którzy lubią, aby wszystko było po staremu, i chcą pozostać na starych śmieciach, wysyłane są listy. W listach składana jest oferta kupna własności za godziwą cenę. Nikt nie musi

się wynosić, płacić czynszu czy zmieniać czegokolwiek, chodzi tylko o przeniesienie prawa własności na dom – każdy dom – czy sklep – każdy sklep.

W ten oto sposób, powoli lecz konsekwentnie, ojciec wykupuje Specter, cal po calu.

Wyobrażam sobie, że bardzo był rad z tej transakcji.

Zgodnie bowiem z jego przyrzeczeniem, nic się nie zmienia, nic z wyjątkiem nagłego i nagle rutynowego pojawiania się w mieście mego ojca, Edwarda Blooma. Nigdy nie uprzedza, nie przypuszczam bowiem, by sam wiedział, kiedy znowu uda mu się wrócić, ale pewnego dnia ktoś go spostrzeże. Stoi samotnie pośród pól albo spaceruje Ninth Street z rękami głęboko schowanymi w kieszeniach. Zachodzi do sklepów, które teraz są jego własnością, kupuje taniej o dolara czy dwa, dalej jednak zostawia na posadach mieszkańców ze Specter, których łagodnie, niczym dziadek, wypytuje: „No i jak tam, wszystko w porządku? Jak żona, dzieci?”

Jasno widać, że kocha miasteczko i jego mieszkańców, a oni tę miłość odwzajemniają, niepodobna bowiem nie kochać mego ojca. Niepodobna. Tak w każdym razie sobie wyobrażam, że nie można nie kochać mego ojca.

„Świetnie, panie Bloom, wszystko układa się dobrze. Onegdaj mieliśmy dobry miesiąc. Zechce pan zerknąć do ksiąg?” Ale on kręci głową. „Jestem pewien, że wszystko jest w najlepszym porządku. Zająłem tylko, żeby się przywitać. Muszę już iść, zatem do widzenia. I proszę przekazać pozdrowienia swojej żonie, dobrze?”

A kiedy baseballowa reprezentacja szkolna Specter

gra z innymi drużynami, widuje się go – wysoką, ciemną, szczupłą sylwetkę – jak stoi na trybunie sam, w trzyczęściowym garniturze, i przygląda się meczowi z taką samą dumą, z jaką obserwował mój wzrost.

Za każdym razem, kiedy zjawia się w Specter, mieszka u innej rodziny. Nigdy z góry nie wiadomo, na kogo tym razem wypadnie, ale zawsze czeka pokój, gdyby poprosił, a zawsze prosi, jakby to był zaszczyt dla przybysza. Je razem z rodziną, potem kładzie się do snu, a rano jest już w drodze. I zawsze zostawia po sobie zasłane łóżko.

– Idę o zakład, że przy takim upale jak dziś pan Bloom z chęcią napije się wody mineralnej – mówi Al.

– Zaraz panu przyniosę.

– Dzięki, Al. Woda będzie teraz w sam raz. Naprawdę.

Siedzi beczynnie na ławce przed sklepikiem Ala. Przydrożny sklep Ala, myśli z uśmiechem; schronił się pod markizę, aby trochę odpocząć w cieniu. Tylko czubki czarnych butów wystawione są na ostre światło letniego dnia. Al przynosi wodę, ojciec pije, czemu przygląda się Wiley, starszy mężczyzna trzymający w ustach koniec ołówka. Wiley był w Specter przez jakiś czas szeryfem, a potem pastorem. Następnie prowadził zieleniak, teraz jednak, kiedy rozmawia z ojcem przed wejściem do sklepu Ala, nic w ogóle nie robi. Przeszedł na emeryturę i zajmuje się już tylko rozmową.

– Wiem, panie Bloom – mówi – że już o tym mówiłem. Wiem, ale powtórzę raz jeszcze: to, co pan zrobił dla tego miasta, to wielka rzecz.

Ojciec uśmiecha się.

– Nic nie zrobiłem dla tego miasta, Wiley.

— A jakże! — powiada Wiley i wybucha śmiechem, a wtórują mu i Al, i ojciec. — Naszym zdaniem to wielka rzecz.

— Jak woda, panie Bloom?

— Bardzo odświeża, dziękuję, Al.

Wiley ma farmę milę za miastem. To jedna z pierwszych bezwartościowych rzeczy, które kupił mój ojciec.

— Ja mogę tylko powtórzyć to, co stale mówi Wiley — powiada Al. — „Nie każdego stać na to, aby kupić całe miasto tylko z powodu miłości do niego”.

Ojciec niemal całkiem przymknął oczy; robią się tak wrażliwe na światło, że już niedługo nie będzie mógł wyjść z domu bez silnych okularów przeciwsłonecznych. Nie przeszkadza mu to jednak z wdzięcznością przyjąć tych miłych słów.

— Dziękuję, Al. Wystarczyło, że zobaczyłem Specter, a natychmiast wiedziałem, że muszę je mieć. Nie potrafię wyjaśnić dlaczego, ale tak czułem. Musiałem mieć je całe. Przypuszczam, że miało to jakiś związek z domknięciem, z kompletnością. Człowiekowi takiemu jak ja trudno jest przystawać tylko na rozwiązanie częściowe. Jeśli część jest dobra, to całość może tylko być jeszcze lepsza. I tak z całą pewnością jest w przypadku Specter. Mieć je całe...

— Ale pan nie ma — mówi Wiley i dalej żuje koniec ołówka, przenosząc oczy z Ala na ojca i z powrotem.

— Wiley — karci go Al.

— Ale to prawda — obstaje przy swoim Wiley. — Nie ma nic złego w tym, kiedy się mówi, jak jest.

Ojciec powoli obraca się do Wileya, ma bowiem pewien szczególny talent: spoglądając na kogoś, po-

trafi stwierdzić, z jaką intencją mówi on to, co mówi: czy robi to szczerze, na serio, czy też coś przeinacza. To prawdziwy talent i jedna z przyczyn, dla których stał się bogaty.

I teraz widzi, że Wiley jest przekonany o prawdziwości swoich słów.

– Bardzo być może, Wiley – powiada – ale mnie nic na ten temat nie wiadomo. Zbadałem każdy cal tego miasta, czy to pieszo, czy samochodem, czy z lotu ptaka, i mam takie przekonanie, że nabyłem wszystko. Całe miasto z przyległościami Wszystko dopięte.

– To świetnie – Wiley na to. – Słowem zatem nawet nie wspomnę o tej parcelce z chatką między końcem drogi a brzegiem jeziora. Może jest za mała, żeby do niej dotrzeć pieszo czy autem, zobaczyć z samolotu czy umieścić na mapie, a ktoś, kto ją posiada, ma na nią papier bez pańskiego podpisu, panie Bloom. Ale oczywiście, pan i Al macie najzupełniejszą rację i pewnie w ogóle nawet nie wiecie, o czym mówię. Bardzo przepraszam tych, którzy zawsze wiedzą lepiej.

Wileyowi nie zabrakło uprzejmości, aby poinformować ojca, jak się tam dostać – że droga nie kończy się, chociaż tak wygląda, że wcale nie ma jeziora tam, gdzie ono na pozór jest, i jak trudno by komuś przyszło na myśl szukać czegoś takiego: trzęsawiska, a na nim chatki. Jedzie więc drogą aż do końca, ale kiedy wysiada z wozu, staje się jasne, że droga jednak wiedzie dalej między drzewami, krzewami i trawą, tyle że natura wyciągnęła po nią swe ręce, natura, a mówiąc dokładniej – jezioro, które wystąpiło z brzegów. W trzech calach nieruchomej wody pokrywającej rozmokły grunt więcej jest życia niż w oceanie. Życie

zaczyna się tam, gdzie błoto nagrzewa się i twardnieje. Ojciec wchodzi w wodę, buty pogrążają się w trzęsawisku, ale to go nie powstrzymuje. Woda się podnosi, szlam osiada na zanurzających się coraz głębiej nogawkach. To całkiem przyjemne wrażenie.

Brnie przed siebie, w półmroku zmierzchu nie dostrzega żadnego zagrożenia. Znienacka widzi przed sobą dom – najprawdziwszy dom. Nie wierzy własnym oczom, że coś takiego może utrzymać pion, że ciężar nie wciska go w miękkie podłoże, z całą jednak pewnością żadna to chatka, a prawdziwy dom, niewielki, ale sprawnie zbudowany, z czterema dobrymi ścianami i dymem unoszącym się z komina. Kiedy zbliża się ku niemu, woda ustępuje, grunt twardnieje i oto ma przed sobą solidną ścieżkę. I myśli z uśmiechem, jakie to chytre i jak do życia podobne: ścieżka pojawia się w ostatnim momencie, gdy śmiało już można by się bez niej obyć.

Po jednej stronie jest ogródek, po drugiej drwa piętrzą się przy ścianie na wysokość czubka głowy Edwarda. W skrzynce pod oknem – rząd żółtych kwiatów.

Podchodzi do drzwi i puka.

– Halo! – woła. – Czy jest ktoś w domu?

– Oczywiście – odpowiada ze środka kobiecy głos.

– Czy mogę wejść?

Chwila ciszy, a potem.

– Proszę wytrzeć buty o wycieraczkę.

Ojciec wykonuje polecenie, potem lekko popycha

drzwi, wchodzi i rozgląda się po niezwykle czystym i schludnym wnętrzu – oto pośrodku najczarniejszego, jakie widział w życiu, rozlewiska widzi ciepły, jasny, wygodny pokój. Jego wzrok pada przede wszystkim na ogień, ale potem przenosi się na kominek, na którym stoją¹ w parach słoiczki z niebieskiego szkła, a dalej na nieomal puste ściany.

Poza tym w pokoju jest jeszcze mała sofa, dwa krzesła i brązowy dywanik przed paleniskiem.

W drzwiach prowadzących do sąsiedniego pokoju stoi dziewczyna. Ma długie czarne włosy splecione na plecach i czujne niebieskie oczy. Skoro mieszka pośrodku bagniska, spodziewałby się, że będzie równie utyłana w błocie jak on, tymczasem oprócz małej smugi po popiele na szyi, jej biała skóra i bawełniana sukienka są bez jednej skazy.

– Edward Bloom – mówi. – Mam rację, prawda?

– Tak. A skąd pani wie?

– Domyśliłam się. Kto by to mógł być jeszcze?

Kiwa głową i przeprasza za to, iż kłopotuje ją i rodzinę, ale przychodzi w interesie. Chciałby rozmawiać z osobą – ojcem? matką? – do której należy dom i okoliczna ziemia.

Dziewczyna informuje go, że właśnie rozmawia z tą osobą.

– Przepraszam?

– Dom i ziemia należą do mnie.

– Ale ty... pani...

– Jestem już niemal kobietą.

- Przepraszam, wcale nie to miałem...
- Wspominał pan o jakimś interesie, panie Bloom.
- A... tak, tak.

I opowiada jej wszystko od początku: jak ugrzązł w Specter, jak zakochał się w tym miejscu i jak bardzo chce posiadać je całe. Mówi, że można to nazwać ułomnością jego charakteru, ale on pragnie mieć całą tę okolicę, a jak się wydaje, to już ostatnia parcela, którą jakoś przeoczył, a którą chciałby od niej kupić, jeśli tylko ona się zgodzi. Mówi, że nic się nie zmieni, może zostać tutaj na zawsze, jeśli taka będzie jej wola, rzecz tylko w tym, że on chciałby móc całe to miasto nazwać swoim.

– Postawmy sprawę jasno -- odpowiada dziewczyna. – Pan kupi dla mnie to trzęsawisko, a ja dalej tutaj zostanę. Pan będzie właścicielem tego domu, ale dalej będzie on mój. Będę tu mieszkać, ale pan będzie zaglądał to tutaj, to do innych miejsc, gdyż taka jest ułomność pana charakteru. Dobrze to ujęłam? – A kiedy on potwierdza, tak, ma rację, chociaż można to było ująć krócej, ona mówi: – W takim razie to mi się nie podoba, panie Bloom. Skoro nic nie ma się zmienić, to ja wolę, żeby się nie zmieniało po staremu, jak dotąd się nie zmieniało.

– Pani mnie nie rozumie – Edward na to. – W gruncie rzeczy nic pani na tym nie traci. Wszyscy na tym zyskują. Nie widzi pani tego? Proszę spytać kogokolwiek w Specter. Ośmiełę się nazwać dobroczyńcą. Mieszkańcy Specter na wszystkie możliwe sposoby skorzystali z mojej tutaj obecności.

– Niech dalej korzystają, ja nie mam nic przeciw temu.

– Przecież chodzi naprawdę o drobiazg. Bardzo proszę, żeby się pani zastanowiła. – Jeszcze chwila, a straci spokój albo opadnie go przygnębienie. – Chcę jak najlepiej dla wszystkich.

– A przede wszystkim dla siebie.

– Dla wszystkich, a więc i dla siebie.

Długo wpatruje się w ojca, a potem kręci głową; oczy ma nadal czujne i niezłomne.

– Nie ma tu oprócz mnie nikogo, panie Bloom – mówi. – Już od bardzo dawna. – Rzuca mu zimne, nieprzyjazne spojrzenie. – Urodziłam się tutaj. Znam się na wielu rzeczach, ach, zdziwiłby się pan doprawdy, na jak wielu. Zupełnie mi to nie odpowiada, by czek na wielką sumę zmienił dla mnie wszystko. Pieniądze – ja ich po prostu nie potrzebuję. Niczego nie potrzebuję, panie Bloom. Jestem zadowolona z tego, co jest.

– Młoda damo – mówi ojciec z niedowierzaniem w głosie. – Jak ci na imię?

– Jenny – odpowiada głosem łagodniejszym niż dotąd. – Jenny Hill.

Było więc tak: najpierw zakochał się w Specter, potem – w Jenny Hill.

Miłość jest dziwna. Co sprawia, że kobieta taka jak Jenny Hill nagle uznaje, że mój ojciec jest odpowiednim dla niej mężczyzną? Czym ją tak zjednał? Oślawionym czarem? A może Jenny Hill i Edward Bloom byli sobie jakoś przeznaczeni? Czyżby mój oj-

ciec czekał czterdzieści lat, a Jenny Hill — dwadzieścia, aby napotkać miłość swego życia?

Nie wiem.

Na ramionach przenosi Jenny przez trzęsawisko i razem jadą samochodem do miasta. Czasami jedzie tak powoli, że zupełnie swobodnie można iść obok auta i rozmawiać z ojcem, albo — tak jak dzisiaj — ludzie zdążą wylegnać na ulice, aby oglądać jego towarzyszkę, kochaną Jenny Hill.

Od samego początku pobytu w Specter mój ojciec miał tylko dla siebie mały biały domek o czarnych okiennicach, nieopodal parku miejskiego. Stał przy ulicy pięknej jak wiosna, przed nim rozpościerał się zielony miękki trawnik, z jednego boku przytulał się do niego ogród różany, z drugiego — stara stodoła przerobiona na garaż. Na jednej ze sztachet białego płotu przysiadł czerwony drewniany ptak, który wiruje, gdy wieje wiatr, a na ganku leży słomiana mata z napisem WITAJ splecionym z ciemniejszych źdźbeł.

Jak dotąd jednak nigdy w nim nie zawitał. Przez całe pięć lat, od kiedy zakochał się w Specter, ani jednej nocy nie spędził w jedynym nie zamieszkanym w mieście domu. Do czasu, gdy wyniósł Jenny z trzęsawiska, zawsze bywał u innych. Teraz jednak, gdy Jenny zamieszkała nieopodal miejskiego parku w małym białym domu z miękkim zielonym trawnikiem od frontu, zatrzymuje się u niej. Nie zaskakuje już mieszkańców Specter nieśmiałym pukaniem do drzwi („To pan Bloom!”, wołały wtedy dzieciaki i rzucały się na niego jak na dawno oczekiwanego wuja). Ma teraz

swoje miejsce, a chociaż z początku kilka osób czuje się zawiedzionych, kilka zaś innych – zgorszonych, to przecież dosyć szybko dominować zaczyna przekonanie, iż to bardzo mądre: mieszkać z kobietą, którą się kocha, w mieście, które się pokochało. Tak właśnie myślą o ojcu od pierwszego dnia: człowiek mądry. Mądry, dobry i uprzejmy. Jeśli robi coś, co wydaje się dziwne – na przykład jedzie na bagna, aby kupić działkę, a znajduje tam tę kobietę – to z tej racji, że inni nie są tak mądrzy, dobrzy i uprzejmi. I bardzo szybko nikt już nie myśli o Jenny Hill z rezerwą, w jakiś małostkowy sposób, a raczej wszyscy zastanawiają się, jak ona daje sobie radę, kiedy Edwarda nie ma, a tak jest – co muszą przyznać nawet najbardziej wielkoduszni mieszkańcy Specter – przez większość czasu.

Zastanawiają się więc: „Czy nie doskwiera jej samotność? Co porabia zdana tylko na siebie?” I tak dalej.

Jenny jednak nie wzdraga się przed uczestnictwem w życiu miasteczka. Pomaga organizować imprezy szkolne, to ona zajmuje się urządzaniem konkursów tanecznych podczas lokalnych jarmarków. Po tak długim czasie spędzonym na trzęsawisku bardzo łatwo przychodzi jej pielęgnacja trawnika; w jej rękach ogród rozkwita. Czasami jednak w nocy są- siedzi słyszą cichy szloch dobywający się gdzieś z głębi duszy i – tak jakby on ją słyszał – oto nazajutrz, najdalej za dwa dni widzą go, jak wolno jedzie przez miasteczko, pozdrawia wszystkich i wreszcie

zatrzymuje się na podjeździe przed małym domkiem, wysiada i macha do swej ukochanej, która stoi na przykład na ganku, wyciera ręce w kuchenny fartuch, na twarzy ma uśmiech promienny jak słońce, głowa leciutko potakuje, a z ust spływa ciche powitanie, jak gdyby wcale nigdzie nie wyjeżdżał.

Zresztą mija chwila i każdy ma takie poczucie. Tak wiele lat minęło od czasu, gdy kupował pierwsze parcele na obrzeżach miasta, od tak dawna jest tu stałym gościem, że właściwie wszyscy zaczęli już traktować jego obecność jako oczywistą. Tak więc jednego dnia jego pojawienie się w Specter jest wydarzeniem, drugiego spada już do poziomu codzienności. Jest właścicielem każdego skrawka miasta, każdy też skrawek osobiście odwiedził. Spał w każdym domu, odwiedził każdy sklep, warsztat i zakład; zna po imieniu wszystkie osoby i wszystkie psy; wie, ile lat mają dzieci i kiedy przypada wielki dzień urodzin. Ponieważ dzieci wzrastały, zawsze widując go gdzieś w mieście, więc to one przede wszystkim zaczęły go traktować jako naturalny, należący do porządku rzeczy składnik życia miasteczka, a potem przeniosło się to na dorosłych. Owszem, upłynie miesiąc bez jego obecności, ale potem przyjdzie dzień, przynosząc ze sobą także Edwarda. Cóż to za widok — to jego stare auto! „Witaj, Edwardzie! Kiedy wpadniesz do nas? Pozdrowienia dla Jenny! Zajrzyj do naszego sklepiku”. Tak wiele lat upływa w ten sam sposób, a jego obecność staje się tak zwykła i przewidywalna, że zaczyna się wydawać, iż nigdy nie opuszczał Specter, a

w takim razie nigdy też do niego nie powracał. Każdy mieszkaniac tego wspaniałego miasteczka, od najmniejszego chłopca i najmniejszej dziewczynki aż po najstarszych, jest przeświadczony, iż Edward Bloom spędził tu całe swe życie.

W Specter historią zaczynają się stawać wypadki, które nigdy się nie zdarzyły. Ludzie mieszają fakty, zapominają albo błędnie zapamiętują. Tak rodzi się fikcja. Chociaż nigdy nie wzięli ślubu, Jenny staje się jego młodą żoną, sam zaś Edward kimś w rodzaju komiwojażera. Powstają różne opowieści o tym, jak się poznali. Było to tego dnia, gdy przejeżdżał przez miasteczko i zobaczył ją — gdzie? — gdy wraz z matką robiła zakupy na targu? „Nie mógł oderwać od niej oczu. Przez cały dzień chodził za nią krok w krok”. Czy może raczej była tą dziewczyną — dziewczynką? — która tego dnia zaoferowała się, że za ćwierć dolara umyje mu samochód, a która odtąd wzdychała do niego i powtarzała wszystkim wokół: „Jest mój. Jak tylko skończę dwadzieścia lat, nakłonię go do małżeństwa”. I, rzecz jasna, w dniu, kiedy kończyła dwadzieścia lat, odnalazła Edwarda, gdy siedział przed sklepem w towarzystwie Willarda, Wileya i całej reszty, a chociaż potrzebna była przecież ich wspólna chęć, wystarczyło, by wyciągnęła dłoń, a on ją pochwycił i odeszli razem, a kiedy później znowu ich widziano, byli już parą, mężem i żoną, by wkrótce potem wprowadzić się do tego pięknego domku z ogrodem, który stoi koło parku miejskiego. A może...

Mniejsza z tym, opowieść ciągle się zmienia. I ta, i

inne. Ponieważ zaś żadna z nich nie jest prawdziwa, więc wspomnienia mieszkańców nabierają osobliwego zabarwienia, a głosy nabierają mocy z rana, gdy w nocy przypomniało im się coś innego, co nigdy się nie wydarzyło, historia na tyle dobra, by podzielić się nią z innymi, nowy zwrot w biegu wypadków, coś, co za dnia spreparowane nazwano by kłamstwem. W skwarze letniego poranka Willard może opowiadać o dniu – któż mógłby go zapomnieć? – gdy Edward miał ledwie dziesięć lat, a rzeka (dziś jej nie zobaczysz, wyschła, zniknęła) podniosła się tak wysoko, iż wszyscy się obawiali, że jeszcze jedna ulewa, a nurt zatopi miasteczko i nawet ślad nie zostanie po Specter. Nikt nie potrafił zapomnieć, jak Edward śpiewając – głos miał wysoki i chłodny – ruszył marszem, śpiewał i szedł, a deszcz podążał za nim. Ani kropla nie spadła już do rzeki, chmury bowiem popłynęły za Edwardem. Zaczarował deszcz, pojawiło się słońce, on zaś zawrócił dopiero wtedy, gdy chmury znalazły się gdzieś nieopodal Tennessee, a Specter było już bezpieczne. Któż mógłby o tym zapomnieć?

„Znacie kogoś, kto lepiej by się odnosił do zwierząt niż Edward?“, pytała inna osoba. „Jeśli znacie, to proszę – pokażcie mi go, z chęcią mu się poprzyglądam. Pamiętam bowiem, jak Edward miał raptem kilkanaście lat, a ze wszystkimi zwierzętami tak był zaprzyjaźniony...”

Edward, rzecz jasna, wcale tak często nie bywa w Specter; co najwyżej raz w miesiącu, nie dłużej niż kilka dni. I chociaż prawda brzmi tak, że nowy bogaty

właściciel miasteczka zajechał tutaj pewnego dnia zepsutym samochodem, dnia, gdy zdążyło już upłynąć czterdzieści lat od jego narodzin, mieszkańcy robią to, co robili zawsze – zmyślają – teraz jednak, zamiast wyolbrzymiać faktyczne zdarzenia, jak czynią to wędkarze, opowiadając o złapanych lybach, wzięli się do fabrykowania życia, którego Edward Bloom nigdy w Specter nie wiódł, życia, które sami chcieliby przeżyć – na koniec więc zamieszkał bez reszty w ich głowach. Jak Edward Bloom ich wynalazł, tak oni wynaleźli Edwarda Blooma.

Ale jest też i inna historia, a w niej nie wszystko tak dobrze układa się z Jenny. Musiało tak być, czyż nie? Młoda kobieta wydobyta z moczarów, tak piękna, jak potrafią być piękne młode kobiety, na tak długi czas zostawiana sama. Mroczne godziny, podczas których upływa jej młodość! Kocha Edwarda – i któż mógłby mieć jej to za złe? Nie ma nikogo, kto nie kochałby Edwarda. Tylko jednak on, Edward, ma klucz do jej serca, a wyjeżdżając, zabiera go z sobą.

I wszyscy zauważają, że jest w Jenny coś dziwnego. Sposób, w jaki dzień i noc przesiaduje w oknie. Przechodnie kiwają do niej, ona jednak nie odpowiada. Patrzy gdzieś w dal, oczy jej płoną, a powieka nawet nie drgnie. A tym razem Edward wyjechał na długo, jeszcze nigdy nie trzeba było tyle czekać na jego powrót. Wszyscy oczywiście tęsknią za nim, ale najbardziej Jenny. Jenny tęskni za nim najbardziej, a to ujawnia pewne dziwne kwestie.

Być może ktoś wspomniał o tym Edwardowi, gdy

przenosił on Jenny do miasta, o jej dziwności. Tyle że, zdaje się, nikt tu nie znał Jenny Hill ani jej rodziny. Nikt. Jak jednak można przeżyć dwadzieścia lat na trzęsawisku tak, żeby nikt o tym nie wiedział? Czy to możliwe?

Nie, niemożliwe. Nie da się jednak wykluczyć, że nikt nie poczynił żadnej wzmianki Edwardowi, bo nie uważał tego za stosowne. Był taki szczęśliwy. A ona wyglądała wówczas na taką piękną dziewczynę. I taką zresztą była.

Ale nie jest. Nikt, kto widzi Jenny Hill w oknie, chłodną i sztywną, nie pomyśli o niej: „piękna”. Myślą: „Nie jest w nastroju do piękna”. A oczy jej płoną. Naprawdę i mocno. Ci, którzy o zmroku przechodzą koło domu, przysięgają, że widzą w oknie żółte iskierki, dwie iskierki, oczy rozjarzone w głowie. I trochę ich to przeraża.

Czy trzeba mówić, że ogród rozchodzi się w kosszykach przechodniów? Ziele i chwasty osaczają krzewy różane, aż wreszcie zduszą je całkowicie. Trawa zarasta podwórze, we własnym rytmie pleniąc się i mrąc. Sąsiad chciałby jej pomóc wokół domu, kiedy jednak puka do drzwi, nie słyszy żadnej odpowiedzi.

Wszystko rozgrywa się zbyt szybko, aby zdążyli reagować, wszyscy są sparaliżowani rozpaczą tchnącą z białego domku. Dni płyną, a dzikie wino tak gęsto pelźnie z jednej strony domu na drugą, że po pewnym czasie trudno nawet zgadnąć, że w ogóle jest tam jakiś budynek.

Potem przychodzą deszcze. Pada całymi dniami. Jezioro przybiera, tama ledwie, ledwie powstrzymuje napór, woda pojawia się wokół domku Jenny. Zrazu to małe kałuże, ale szybko zamieniają się w bajorka, rosną, aż wreszcie łączą się w jedno jezioro. Jego wody wyciekają na ulicę i podpełzają pod drzwi sąsiedniego domu. Pełzną ku nim wodne węże i znikają w toni; walą się drzewa, których korzenie nie mogą się utrzymać w rozmokłej glebie. Wypoczywają na nich żółwie, a mech coraz gęstsza warstwą porasta pnie. Ptaki, jakich tu dotąd nie widywano, wiją sobie gniazda w kominie domku Jenny, a po nocy z ciemnej głuszy dobywają się głosy dziwnych zwierząt. Wtedy wszyscy mieszkańcy drżą i chowają się pod kołdrami.

Mokradło przestaje się rozszerzać, gdy dom jest już ze wszystkich stron okrążony przez jardy ciemnej, mulistej wody. A kiedy ojciec pojawia się wreszcie i widzi, co się stało, jest już za późno, trzęsawisko bowiem zbyt jest głębokie, dom oddzielony zbyt szerokim pasem wody, a chociaż widzi, jak ona tam łśni, nie może jej mieć i musi powrócić do nas. Wędrowny heros powraca, zawsze do nas powraca. Ilekroć jednak wyjeżdża w interesach, to tam się udaje, tam się udaje za każdym razem i woła do niej, ona jednak nie może odpowiedzieć. Nie może już jej mieć i to dlatego jest taki smutny i zmęczony, kiedy przyjeżdża do domu, i to dlatego ma tak niewiele do powiedzenia.

Jak to się kończy

Koniec jest zawsze zaskakujący, także i ja byłem nim zaskoczony.

Przygotowywałem sobie w kuchni kanapkę z masłem orzechowym i galaretką. Matka ścierała kurze ze szczytu framug, kurze, które widać dopiero wtedy, gdy wejdzie się na drabinę, co właśnie zrobiła, a ja akurat myślałem, pamiętam, jakie to smutne i okropne życie, którego każdą chwilę musi poświęcać na wycieranie tych dalekich kurzów – kiedy wszedł ojciec. Była jakaś czwarta po południu, rzecz dziwna, gdyż nie potrafiłem sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz widziałem go w domu przed zachodem słońca, a kiedy teraz spojrzałem na niego w pełnym świetle dnia, zrozumiałem dlaczego – nie wyglądał dobrze. W gruncie rzeczy, wyglądał okropnie. Położył coś na stole w jadalni i wszedł do kuchni, stukocząc twardą podeszwą butów o świeżo wypolerowaną podłogę. Matka usłyszała jego kroki, ostrożnie więc zeszła po stopniach, położyła ścierkę obok koszyka na chleb i odwróciła się, patrząc na niego wzrokiem, który mógłbym określić tylko jako spojrzenie rozpaczy. Wiedziała, co zamierza powiedzieć jej, powiedzieć nam. Wiedziała, gdyż robił te wszystkie testy i biopsje, których naturę mądrze woleli trzymać przede mną w tajemnicy aż do chwili, gdy będą wiedzieć na pewno, a właśnie dzisiaj mieli wiedzieć. Dlatego zajęła się wycieraniem kurzów na szczycie okiennych framug, dzisiaj bowiem mieli wiedzieć, ona zaś nie chciała o tym myśleć, nie chciała siedzieć i zastanawiać się nad tym tylko, co dzisiaj miała usłyszeć.

I usłyszała.

– Jest wszędzie – powiedział. I tyle. „Jest wszę-

dzie", powiedział i odwrócił się, żeby wyjść, a matka skoczyła za nim, zostawiając mnie z mym zdumieniem, co to za, na litość boską, „wszędzie" i dlaczego w takie przygnębianie wprawilo rodziców. Ale niedługo musiałem się zastanawiać.

Domyśliłem się sam, jeszcze zanim mi powiedzieli.

Pomimo wszystko nie umarł. Na razie. Zamiast umierać, stał się pływakiem. Basen mieliśmy od lat, a on ani razu z niego nie skorzystał. Teraz, kiedy cały czas spędzał w domu i potrzebował ćwiczeń fizycznych, tak związał się z basenem, jakby urodził się do życia w wodzie, jakby ona była jego naturalnym żywiołem. Był piękny, gdy z boku mu się przyglądać. Wydawało się, iż przesuwa się w wodzie, w ogóle jej nie poruszając. Długie różowe ciało, pokryte bliznami, strupami, siniakami i obtarciami połyskiwało w migoczącej niebiesko wodzie. Ramiona poruszały się przed nim z taką pewnością, jak gdyby gładził wodę, nie zaś ją rozdzielał. Nogi za nim kurczyły się i rozkurczały z żabią precyzją, głowa zaś niczym pocałunek znikwała pod powierzchnią i nad nią się wynurzała. Trwało to całymi godzinami. Skóra tak długo zanurzona w wodzie nasiąkała nią, a zmarszczki białały. Kiedyś widziałem, jak powoli, metodycznie, jakby skubał pierze, zdejmował tę skórę cienkimi płatami. Przez resztę dnia przeważnie spał. Jeśli nie spał, wpatrywał się w coś nieokreślonego, jak gdyby widział jakiś sekret. Oglądany z boku stawał się coraz bardziej obcy, nie tylko dla mnie, ale obcy w tym miejscu i czasie. W tym, jak oczy zapadały się w głąb

głowy, wyzbyte ognia i pasji. W tym, jak ciało kurczyło się i wiotczało. W tym, jak przysłuchiwał się głosowi tylko dla niego słyszalnemu.

Niejakie pocieszenie dawał fakt, że wszystko to zmierzało ku dobremu, że ostatecznie nadejdzie happy end, że nawet ta choroba jest metaforą czegoś innego – tego, że coraz bardziej nużył go ten świat. To stawało się takie oczywiste: żadnych więcej olbrzymów, żadnych szklanych oczu do odszukania, żadnych rzecznych dziewczyn, które mogłyby uratować, a które potem mogłyby tobie ocalić życie. Stał się po prostu Edwardem Bloomem, człowiekiem jak wszyscy. Podejrzałem go w złej fazie życia, w czym nie było żadnej jego winy. Świat po prostu utracił tę swoją magię, która pozwalała mu żyć w nim z gestem.

Choroba była jego biletem do jakiegoś lepszego miejsca.

Wiem o tym teraz.

Tak czy owak, ta ostatnia podróż była najlepszą rzeczą, jaka mogła nam się przytrafić. No, może jeśli uwzględnić wszystko, nie najlepszą, ale chociaż dobrą. Przynajmniej raz widziałem go co wieczór, częściej niż kiedykolwiek przedtem, gdy miał się dobrze. Nawet teraz nadal był moim starym – nienaruszone poczucie humoru. Nie wiem, dlaczego wydaje mi się to ważne, ale tak jest. Przypuszczam, że w pewnych sytuacjach to oznaka siły, która przeciwstawia się przeciwnościom, stanowczości, niezłomności woli.

Facet rozmawia z myszą. „Wiesz, na twoją cześć nazwali ważne urządzenie do komputera”. A ona pyta:

„Naprawdę nazwali je Nancy?”

Albo to. Facet zamawia w restauracji kawę bez śmietanki. Kelner zjawia się dopiero po kilkunastu minutach i mówi: „Bardzo pana przepraszam, ale wyszła nam cała śmietanka. Czy może być bez mleka?”

Ale nie było już wcale zabawnie. Po prostu czekaliśmy na ten ostatni dzień. Opowiadaliśmy sobie stare, marne kawały, aby zabić czas, aż wreszcie nadejdzie koniec. Z każdym dniem ojciec był coraz słabszy. Czasami w trakcie opowiadania dowcipu zapominał, o czym mówi, albo dawał złą pointę – to znaczy może świetną pointę, ale do innego kawału.

Basen zaczął podupadać. Po pewnym czasie nikt już się nim nie opiekował, nazbyt nas bowiem unieruchomiło oczekiwanie na koniec ojca. Nikt nie czyścił kafelków ani nie dodawał substancji, która zachowywała niebieskość wody; algi poczęły zarastać ściany grubą, zielonkawą warstwą. Tato pływał w nim jednak aż do końca. Nawet kiedy bardziej przypominał sadzawkę niż basen, dalej pływał. Któregoś dnia wyszedłem, żeby zobaczyć, co z nim, i przysiągłbym, że widziałem rybę – okonia o małym pysku – jak usiłuje złapać muchę. Byłem tego pewien.

– Tato! – zawołałem. – Widziałeś?

Zatrzymał się w połowie ruchu; unosił się na wodzie.

– Widziałeś tę rybę?

Zaraz jednak się roześmiałem, gdy spojrzawszy na ojca, kawalarza i wiecznego komika, zobaczyłem, że wygląda śmiesznie. Dokładnie tak pomyślałem, kiedy

na niego spojrziałem: „Ale śmiesznie wygląda”. No i oczywiście wcale nie zatrzymał się w połowie ruchu, tylko zemdlał; woda dostała się już do płuc. Wyciągnąłem go z basenu i wezwałem karetkę. Zacząłem uciskać brzuch, a woda trysnęła z ust, jakby ktoś usunął z nich czop. Czekałem, aż otworzy oczy i mrugnie, wybuchnie śmiechem, zamieni to rzeczywiste zdarzenie w coś innego, w coś naprawdę strasznie zabawnego, co później wspomina się ze śmiechem. Trzymałem go za rękę i czekałem. Czekałem bardzo długo.

Śmierć ojca: ujęcie czwarte

No i w końcu tak to się stało.

Przerwijcie mi, jeśli to już słyszeliście.

Ojciec umierał. Umieszczone pod namiotem tlenowym w Jefferson Memoriał Hospital wątłe, wymizerowane ciało wydało się wyblakłe i przezroczyste, jakby już wówczas było marą. Matka czekała razem ze mną, ale czasami szła porozmawiać z lekarzem albo przejść się, bo czuła ból pleców, a wtedy zostawałem sam z ojcem i czasami ujmowałem jego dłoń.

Czekałem.

Lekarze, których było tylu, iż ktoś nazwał ich drużyną, byli bardzo poważni, nie robili żadnych nadziei. Doktor Knowles, doktor Millhauser i doktor Vincetti byli znanymi specjalistami w swych dziedzinach. Każdy zajmował się tą częścią ojcowskiego ciała, która stanowiła jego specjalność, i ustalenia swe przekazywał doktorowi Bennettowi, naszemu staremu lekarzowi rodzinnemu, który, jak kapitan drużyny, był

lekarzem ogólnym. Zbierał szczegóły zdawanych mu raportów, wypełniał puste miejsca, jeśli takie się pojawiały, i następnie przedstawiał nam ogólny obraz. Czasami pochlebiał nam, używając terminów, których wyuczył się w szkołach, jak na przykład nefropatia albo chroniczna anemia hemolityczna. Szczególnie tę anemię czynił odpowiedzialną za wycieńczenie organizmu — zatrzymywana w ciele zbyt wielka ilość żelaza rodziła konieczność stałych transfuzji krwi, a także powodowała niemożność asymilacji produktów ubocznych czerwonych ciałek, odbarwienie skóry i nadwrażliwość na światło. Z tej przyczyny, chociaż leżał w śpiączce, światła w jego pokoju zawsze były przygaszone; obawiano się, że gdyby się ocknął, szok spowodowany jaskrawym światłem mógłby go zabić.

Doktor Bennett miał starą, zmęczoną twarz. Podkowy pod oczyma przypominały ciemnobrązowe koleiny. Był naszym lekarzem rodzinnym od dawna, nie wiem jak długo. Ufaliśmy mu, gdyż był dobrym lekarzem.

— Powiem wam coś — zwrócił się do nas tego wieczoru i położył mi rękę na ramieniu; nasza przyjaźń pogłębia się, im dłużej czuwa nad pogarszającym się stanem ojca. — Tak szczerze, jak potrafię.

Popatrzył na mnie i na mamę, potem jakby się jeszcze przez chwilę namyślał.

— Edward może się z tego już nie wykaraskać.

Oboje jednocześnie powiedzieliśmy:

— Rozumiem.

— Jest jeszcze parę rzeczy, których chcemy po-
próbować — ciągnął — wcale nie zamierzamy kapi-
tulować. Tyle że widziałem już wcześniej takie przy-
padki. To smutne, bo... bo znam Edwarda od ponad
ćwierć wieku. Czuję się teraz nie jak jego lekarz, lecz
jak przyjaciel. Przyjaciel, który bardzo chciałby jakoś
pomóc. Ale bez tych maszyn...

Odwrociłem się i odszedłem, podczas gdy on dalej
mówił do matki. Znalazłem się w pokoju ojca i
usiadłem przy łóżku. Siedziałem tam, czekałem — sam
nie wiem na co — i wpatrywałem się w te cudowne
maszyny. To nie było życie, rzecz jasna. Pod-
trzymywanie życia. Oto zdobycz świata medycznego,
która zastąpiła Czyściec. Patrzyłem na monitor i
widziałem, jak ojciec często oddycha. Widziałem, jak
sobie poczyną jego frenetyczne serce. Były też wijące
się linie i cyfry, których znaczenia w ogóle nie byłem
pewien, ale i z nich nie spuszczałem wzroku. Mówiąc
szczerze, po krótkim czasie patrzyłem już tylko na
maszyny, a nie na ojca. Stały się nim, opowiadały mi
jego historię.

Co mi przypomina jeden dowcip. Na zawsze za-
pamiętam wszystkie jego kawały, ale ten szczególnie.
To rodzinny rarytas. Nieustannie go sobie powtarzam
na głos i w samotności, tak jak mi opowiedział.
Mówię, był raz człowiek. Był raz człowiek bardzo
biedny, ale strasznie chciał mieć nowy garnitur. Chce
mieć garnitur, ale nie może sobie na niego pozwolić,
wszystkie są za drogie, aż któregoś dnia mija sklep, a
tam na wystawie garnitur jak wymarzony, a cena

znośna, piękny granatowy garnitur w prążki – więc go kupuje. Niewiele myśląc, kupuje i wychodzi w nim ze sklepu, do tego odpowiedni krawat i w ogóle, ale dowcip polega na tym – o czym chyba powinienem był wspomnieć wcześniej – że ten garnitur nie pasuje. Zupełnie nie pasuje. Jest po prostu za duży. Ale tak czy owak, to jego garnitur, prawda? Jego. Żeby więc dobrze wyglądał, jeden łokieć musi przycisnąć do boku, o tak, drugą rękę trzymać jakoś tak, a nogi musi przesuwać w ten sposób, żeby mankiety nogawek wydawały się równe. Mały facecik w wielkim garniturze wychodzi, jak mówię, wychodzi w garniturze na ulicę. „Ale mam piękny garnitur”, myśli i idzie, trzymając ręce tak – tu ojciec ułożyłby odpowiednio ręce ■ – i szura nogami, uśmiechnięty jak idiota, bo taki wspaniały zakup mu się udał – garnitur! co za okazja! – a koło niego przechodzą dwie kobiety. Patrzą na niego, jedna kręci głową i powiada do drugiej: „Straszne biedaczysko!”, a druga na to: „Ale jaki piękny garnitur!”

I to jest koniec dowcipu.

Ja jednak nie potrafię opowiedzieć go tak jak ojciec. Nie potrafię jak on powłóczyć nogami, a chociaż jest to najzabawniejszy kawał, jaki słyszałem w życiu, wcale się nie śmieję. Nie potrafię. Nawet gdy druga z dam mówi: „Ale jaki piękny garnitur!” – nie śmieję się. W ogóle się nie śmieję.

Robię coś innego.

Przypuszczam, że to go poruszyło, odrobinę przywróciło go światu, myśl, że jeśli kiedykolwiek po-

trzebowałem dowcipu, to właśnie teraz.

I, na Boga, udało się!

Patrzę na niego, a on patrzy na mnie.

– Trochę wody – mówi do mnie. – Daj mi trochę wody.

„Trochę wody”, mówi!

I ten głos to naprawdę jego głos, niski i gardłowy, troskliwy i łagodny. Mama, chwala Bogu, nadal rozmawia z doktorem Bennettem. Podaję mu wodę, a on przywołuje do łóżka mnie, jedyne go syna, mnie, jedyne dziecko, i klepie miejsce na łóżku, gdzie mam usiąść. Tak? Siadam. Nie ma czasu na wszystkie „cześć”, „jak się czujesz” i obaj o tym wiemy. Budzi się, spogląda na mnie siedzącego na krześle przy łóżku i klepie łóżko tam, gdzie mam usiąść. Siadam, on zaś mówi, najpierw wzięwszy łyk wody z małego plastikowego kubka:

– Synu, martwię się.

Mówi to zaś takim trzęsącym się głosem, że wiem, nie pytajcie skąd, ale wiem, że – z maszynami czy bez maszyn – po raz ostatni widzę go żywego. Jutro będzie martwy.

– O co się martwisz, tato? – pytam. – Co będzie potem?

On zaś na to:

– Nie, głuptasie, martwię się o ciebie. Jesteś idiotą, bez mojej pomocy sam nie potrafisz się rozerwać.

Nie obrażam się – chce powiedzieć coś śmiesznego. Chce powiedzieć coś śmiesznego, bo to najlepsze, co może zrobić! Odchodzi, tak, to oczywiste.

– Nie martw się o mnie, tato – mówię. – Dam sobie radę. Naprawdę.

– Jestem ojcem i nic na to nie poradzę. A ojciec się martwi. Jestem ojcem – powtarza, abym tego nie przegapił – i jako ojciec próbowałem cię nauczyć paru rzeczy. Naprawdę próbowałem. Może niewiele byłem w domu, ale jak już byłem, próbowałem cię czegoś nauczyć. I teraz chcę się tylko dowiedzieć... Jak ci się wydaje, coś mi się udało? – A kiedy otwieram usta do odpowiedzi, nie daje mi przemówić: – Poczekaj. Nie odpowiadaj jeszcze! – I usiłuje się uśmiechnąć jak najpromienniej, ale mu to nie wychodzi. Już nie teraz. Mówi więc, mówi do mnie, konając przede mną na łóżku, on, ojciec, mówi do mnie: – No to dawaj. Powiedz mi, zanim umrę. Powiedz, czego cię nauczyłem. Opowiedz mi o wszystkim, czego cię nauczyłem, o życiu, żebym mógł się już zebrać i umrzeć, nie martwiąc się zbyt wiele. No to... No to dawaj, mów.

Spoglądam w te szaroniebieskie umierające oczy. Patrzymy obaj na siebie, nigdy już nie będziemy wyglądać inaczej, ten obraz twarzy zabierzemy ze sobą na wieczność, a ja – myśląc, jaka szkoda, że nie poznałem go lepiej, jak dobrze byłoby razem spędzić życie, jaka szkoda, że ojciec jest dla mnie taką cholerną i kompletną zagadką – mówię:

– Był raz człowiek – mówię. – Był raz bardzo biedny człowiek, ale strasznie chciał mieć nowy garnitur...

Duża ryba

A on się śmieje. Potem obrzuca pokój wzrokiem i kiwa na mnie. Kiwa palcem!

– Spadajmy stąd – mówi chrapliwym szeptem.

– Jak to? Tato, w twojej sytuacji...

– W łazience jest taki składany fotel na kółkach – nie daje mi dokończyć. – Owiniesz mnie kocem.

Wystarczy minąć korytarz, a już jesteśmy na wolności.

Ale nie mamy dużo czasu. Pospiesz się, synu!

Zrobiłem to, czego chciał. Nie wiem, czemu.

Wszedłem do łazienki i zobaczyłem, że ma rację. Zaraz za drzwiami stał w kącie fotel złożony jak wózek dziecięcy. Rozłożyłem go i podjechałem do łóżka ojca, którego owinąłem w jasnobrązowy koc, głowę otulając czymś w rodzaju mnisiego kaptura. Z kłopotliwą łatwością uniosłem go i przesadziłem na fotel. Nie, żebym ja aż tak bardzo wzmocnił się przez ostatnie miesiące – po prostu on zrobił się taki mały.

– Spadamy! – powtórzył.

Otworzyłem drzwi jego pokoju i rozejrzałem się po korytarzu. Mama razem z doktorem Bennettem stała przy pulpicie pielęgniarek i ocierała oczy chusteczką. Pojechałem z ojcem w przeciwnym kierunku. Nie miałem odwagi obejrzeć się, żeby sprawdzić, czy nas zobaczyli. Pchałem po prostu fotel najszybciej, jak potrafiłem, w nadziei, że nam się uda, i przy pierwszej okazji skręciłem. Dopiero wtedy spojrzałem za siebie.

Nikogo.

Dobrze, póki co.

– OK. Teraz dokąd? – pytam, łapiąc oddech.

– Do wind – odpowiada ojciec głosem stłumionym przez koc. – Gdzie stoisz? Na ulicy czy w podziemiach?

– W podziemiach.

– Tam jedziemy. Tylko szybko, bo nie mamy dużo czasu.

Przyjechała winda, wepchnąłem fotel do środka. Drzwi zamykają się za nami, a kiedy się otwierają, z jakąś szaleńczą brawurą wytaczam fotel obok grupki lekarzy w bieli i zieleni oraz pielęgniarek z kartami w rękach, zrazu tylko zerkających, ale potem wpatrujących się z rosnącą uwagą. Już wszyscy wpatrują się w nas z uwagą, bo coś jest tu nie w porządku, ale poruszam się tak szybko, że nikomu nie przychodzi na myśl nas zatrzymać. Wszyscy po prostu patrzą, jakby zobaczyli coś dziwnego – i rzeczywiście widzą coś dziwniejszego, niż mogliby sobie wyobrazić. A my w chłodnym wiosennym wietrze jedziemy już w kierunku parkingu i mojego wozu.

– Dobra robota – chwali.

– Dzięki.

– Ale ciągle trzeba się spieszyć, Will. Potrzebna mi woda. Bardzo.

– Mam w samochodzie – mówię. – Pełny termos.

– Więcej – odpowiada ze śmiechem.

– Postaramy się o więcej.

– Wiem, że się postarasz synu. Wiem.

Przy samochodzie przenoszę go na przednie siedzenie. Składam fotel na kółkach i ciskam na tył.

– Nie będzie nam już potrzebny – mówi.
– Nie będzie?
– Nie tam, dokąd jedziemy – mówi i chyba znowu się śmieje.

Na razie jednak nie mówi mi, dokąd jedziemy. Jadę po prostu w przeciwnym kierunku niż wszystkie jego miejsca: szpital, biuro, dom. Kiedy spoglądam na niego, oczekując jakichś wskazówek, milczy, dokładnie przykryty kocem.

– Pamiętasz o wodzie, William? – pyta po minucie.

– Ach, tak.

Termos jest obok mnie na siedzeniu. Otwieram i podaję ojcu. Spod fałd wynurza się ręka drżąca i pokryta popękana, stwardniała jak łuska skórą, ale zamiast się napić, on wylewa płyn na siebie. Koc namaka.

– Ach – mruczy. – Co za ulga.

Nadal nie ściąga z siebie koca.

– Jedź na północ autostradą numer jeden – powiedziały ale musiałem się nachylić, by go zrozumieć, gdyż głos i tak tłumiony przez koc dochodził jakby z wielkiej oddali.

– Na północ autostradą numer jeden – powtarzam.

– Jest tam takie miejsce. Jest tam rzeka i miejsce nad rzeką.

– Zakątek Edwarda – mruczę pod nosem.

– Co takiego? – pyta.

– Nic, nic.

Mijamy ciągi ulic, opuszczamy śródmieście, zostawiamy za sobą przedmieścia, dachy i korony drzew skąpane w słońcu, wreszcie znajdujemy się za miastem, pośród głębokiej, pięknej zieleni, w całkiem innym krajobrazie: drzewa, farmy, krowy, lazurowe niebo, domostwo chmur i przelotnych ptaków. Kiedyś już tędy jechałem.

– Jak daleko jeszcze? – pytam.

– Już chyba tylko kilka mil – mówi. – Taką przynajmniej mam nadzieję. Nie najlepiej się czuję.

– Co ma tam być? – pytam, ale za całą odpowiedź słyszę tylko jakiś gulgoczący dźwięk, coś jak jęk spowodowany silnym bólem. – Jak się czujesz?

– Bywało lepiej. Zupełnie jak ten facet...

..który wchodzi z żabą na głowie, krukiem na ramieniu i kangurem u boku, na co barman mówi. „Nie, nie, tylu kangurów nie wpuszczamy”, a kangur na to: „No, przy takich cenach to wątpię, żeby jakieś jeszcze zawitały”.

I nagle niemal krzyczy:

– Tutaj!

Z tego, co wiem, nie był to Zakątek Edwarda, ale właściwie czemu nie? Rósł tam stary dąb z korzeniami rozrastającymi się w ciemnej i podmokłej ziemi. Były twoje rododendrony. Był twój królik, który oddalił się leniwymi susami, zerkając na nas przez ramię. I była twoja rzeka, tak czysta, jak to twoim zdaniem już dzisiaj nie bywa, bystro opływająca głązy wielkości auta, zawijająca się w śmigłe wiry, tak czysta jak powietrze, błękitna jak niebo, biała jak chmura.

Nie wiem, jak on wypatrzył to miejsce spod koca.

– Zanieś mnie – powiedział, albo przynajmniej tak to zabrzmiało, gdyż głos miał tak słaby, że w słuchanie musiałem włożyć sporo interpretacji. Powiedział: „Zanieś mnie” i „Nawet nie wiesz, jak jestem ci wdzięczny”, i „Jak zobaczysz matkę, powtórz... powtórz, że chciałem jej powiedzieć do widzenia”. Wyjąłem go więc z samochodu, poniosłem po trawiastym brzegu nad rzekę i stanąłem nad nią, trzymając ojca w ramionach. Wiedziałem, co powinienem zrobić, ale nie mogłem. I stałem tak na brzegu tej rzeki, trzymając jego ciało zawinięte w koc, aż wreszcie powiedział: „Może wolałbyś teraz nie patrzeć” i „Proszę”, a potem zniemacka miałem ramiona pełne fantastycznego życia, tak pełnego siły, że nie utrzymałbym go, nawet gdybym chciał, ale już w następnej chwili był w rękach tylko sam koc, gdyż ojciec wyskoczył do r/eki. I dopiero wtedy zro/u miałem, że ojciec wcale nie umierał. On tylko się przemieniał, przekształcał w coś nowego i innego, co dalej poniesie życie.

Przez cały ten czas ojciec stawał się rybą.

Patrzyłem, jak błyskawicznymi ruchami mknie pod wodą to w tę, to w drugą stronę, srebrzyste, migotliwe, lśniące życie, a potem znika na głębini, gdzie jest miejsce dużych ryb, i od tego czasu go nie widziałem – chociaż widzieli inni. Nasłuchałem się historii o uratowanym życiu, spełnionych życzeniach, dzieciach całymi milami niesionych na grzbiecie, o wędkarzach podstępnie ściąganych z łódek przez rybę

tak wielką, jakiej jeszcze w życiu nie widzieli, a potem wyrzucanych gdzieś na brzegach przeróżnych oceanów, mórz i strumieni, od Morza Beauforta po Hyannis. Opowiadają swe historie każdemu, kto tylko chce słuchać.

Nikt im jednak nie wierzy. W ani jedno słowo.

Podziękowania

Wielu przyjaciół i wiele osób z rodziny pomogło mi napisać tę książkę, za co im wszystkim tutaj dziękuję. Wyrazy wdzięczności należą się przede wszystkim Paulowi Price'owi, który był przez lata moim wiernym czytelnikiem, oraz Joe Regalowi, którego niezliczone talenty — jako agenta, wydawcy, muzyka i przyjaciela — sprawiają, iż znajomość z mm jest nieoceniona. Walter Ellis i Betty Caldwell to dwoje najlepszych nauczycieli, jakich miałem w życiu, i nie wiem doprawdy, kim bez nich bym był. Z głęboką radością dziękuję też Kathy Pories i wszystkim z Algonquin.

Spis treści

Część I

Dzień, gdy się urodził.....	11
W którym rozmawia ze zwierzętami	14
Rok śniegu w Alabamie	15
Wielkie obietnice	18
Śmierć ojca: <i>ujęcie pierwsze</i>	19
Dziewczyna w rzece	30
Cichy urok.....	34
Jak okiełznał olbrzyma	35
W którym idzie na ryby	40
Dzień, gdy opuścił Ashland	43

W nowym świecie	56
Część II	
Stara dama i oko	63
Śmierć ojca: <i>ujęcie drugie</i>	71
Jego pierwsza wielka miłość	81
Jego legendarne nogi	83
W którym wykonuje swój ruch	84
Walka	86
O poznaniu teściów	91
Jego trzy prace	96
Idzie na wojnę	106
Śmierć ojca: <i>ujęcie trzecie</i>	111
Dzień, gdy się urodziłem	122
Jak mnie widział	125
Jak uratował mi życie	130
Jego nieśmiertelność	133
Największa z jego mocy	135
W którym ma sen	138
Część III	
W którym kupuje miasto i nie tylko	147
Jak to się kończy	169
Śmierć ojca: <i>ujęcie czwarte</i>	175
Duża ryba	181

Podziękowania	187
---------------------	-----